

Raport drugi

Jak agenci rozbijali opozycję

*Dzieje się tak dlatego, że niewielu Polaków
odważyło się zagłębić w przeszłość
Roger Boyes*

Na początku byliśmy wszyscy razem. Z kilku różnych grup szybko stworzyliśmy zwarte środowisko, oparte o wzajemne zaufanie, lojalne i ofiarne. Łączyło nas wiele: wspólne poczucie obowiązku wobec Polski i Polaków, świadomość wypełnianej misji, determinacja działania, ale również przyjęcie wysokiego ryzyka, nie cofającego się przed więzieniem i cierpieniem. Zagrożenia nie były wprawdzie tak ogromne, jak ćwierć wieku wcześniej, ale cena działania pozostawała znaczna. Bez porównania większa, niż w okresie stanu wojennego. Wieloletnie ciężkie więzienie bez nadziei przedterminowego zwolnienia, zepchnięcie na margines, trwały niedostatek, ciągły nadzór policyjny i niemożność korzystania z praw, dopuszczalnych dla przeciętnych, zgoła nie uprzywilejowanych, poniewierka. Dla tych z nas, którzy już przeszli więzienia, było to łatwiejsze, ale pozostawało pytanie, czy mamy prawo narażać na to wszystko naszych bliskich.

Największe zagrożenie mieściło się gdzie indziej. Ryzykowaliśmy nie tylko sobą, przede wszystkim celem naszych działań. Było nas niewielu. Dlatego tym jaśniej rozumieliśmy, że jeśli zabraknie nam roztropności, jeśli źle skalkulujemy ryzyko, jeśli popełnimy błędy, jeśli źle wybierzemy czas podjęcia czynnego i jawnego działania - zostaniemy wyeliminowani fizycznie, wyłączeni ze społecznej aktywności na długie lata. Gdy zastraszy to innych, nikt nie pójdzie za nami, nie podejmie przerwanej walki. Największym ryzykiem było, że nasza nieopatrność może przyczynić się do zaniku wolnościowych aspiracji Polaków na kolejną dekadę. A nawet, jeśli w niewłaściwym czasie uda się nam poruszyć szersze środowiska, sprowokowana tym interwencja może ustabilizować niewolę na całe, kolejne pokolenie. Mogliśmy się tylko modlić do Ducha Świętego, aby przy wyborze momentu nie zabrakło nam rozsądku i jasności umysłu.

Moment taki jeszcze nie nadszedł. Dlatego nie śpieszyliśmy się. W latach 1971-75 ostrożnie budowaliśmy podstawy. Konwent nurtu niepodległościowego (nn) przygotował programowe założenia formowanego ruchu oporu i wybrał środowiska, jakie miały go stworzyć. Latem 1975 r. sprawy zaczęły toczyć się szybko. Z coraz bardziej zapartym tchem śledziliśmy helsińskie obrady Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. 31 sierpnia ogłoszono końcowy komunikat. ZSRR i pozostałe kraje obozu zobowiązały się do przestrzegania politycznych praw człowieka, a także uznały zakaz przeprowadzenia interwencji zbrojnej gdziekolwiek w Europie. Trudno było przypuszczać, że Moskwa traktowała to poważnie. Jedno jednak było pewne: Helsinki stanowiły ogromny sukces ZSRR, uzyskany po wielu latach trudnej i wymagającej wyrzeczeń polityki. Czy tylko dlatego, że w Polsce powstanie jawna grupa opozycji politycznej i osiągnie pewne powodzenie społeczne, Breżniew zgodzi się przekreślić największy sukces w polityce zagranicznej całego jego pokonania, aby zniszczyć jakiś awanturników, może nawet prowokatorów kierowanych przez CIA - którym tylko o to chodzi?

Oczekiwany moment nadszedł. Skonsultowałem się z Abrahamem i Plutą-Czachowskim, a we wrześniu 1975 r. w niewielkim mieszkanku przy ul. Batorego, gdzie przejściowo mieszkał Romuald Szeremietiew, na poszerzonym posiedzeniu Konwentu nn podjęliśmy decyzję przystąpienia do formowania dwu nowych struktur opozycji: podziemnej, tworzącej techniczne możliwości działania, oraz jawnej, formalnie poświęconej temu, co nierozzerwalnie wiązało się z Helsinkami - czyli obronie praw człowieka. Z miejsca wpadliśmy w wir roboty. Nie była wcale łatwa. Kilkanaście miesięcy zajęło utworzenie technicznego Nurtu Niepodległościowego (NN) -

podziemnej bazy, która miała zapewnić funkcjonowanie jawnej struktury opozycyjnej. Powołanie tej ostatniej - późniejszego Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela - zapowiedział Program 44, którego kolportaż rozpoczęliśmy 6 sierpnia 1976 r. wśród uczestników Pielgrzymki Warszawskiej wyruszającej na Jasną Górę. Jednak główne prace nad formowaniem ROPCiO miały miejsce dopiero zimą 1976-77; powstanie Ruchu Obrony ogłosiliśmy wraz z początkiem wiosny - 26 marca.

W tym decydującym okresie odczuwaliśmy namacalnie, jak wokół środowisk niepodległościowych zaciska się obręcz SB. Ostatnie tygodnie stanowiły prawdziwy wyścig z czasem. Czy zdążymy utworzyć jawne ROPCiO, czy bezpieka będzie szybsza i przetnie tę inicjatywę w zarodku?

Teraz otwieram teczkę SOR nr 4750 kryptonimie "O", założoną na Leszka Moczulskiego. Prowadzący - ppor. O, nadzoruje naczelnik wydz. III - ppłk. Mj. Data założenia: 10 lutego 1977 r. To zaskakujące, jak bardzo zakłamate, również wobec zwierzchników - są dokumenty bezpieki! Znam różne jej akta i za każdym razem zdumiewa mnie, że tak starannie ukrywają prawdziwy powód wszczęcia sprawy. Tym razem jest tylko lakoniczna wzmianka, że powodem wszczęcia postępowania przeciwko Leszkowi Moczulskiemu są informacje, z założył on nielegalną organizację i związek dorosłych. Na odwrocie karty, w uzasadnieniu podano, że wedle wiarygodnych informacji pochodzących od TW "Marcina" - Moczulski przygotował plan zmian ustrojowych PRL, a ponadto uczestniczył w tajnych spotkaniach z młodzieżą katolicką. Żadnych dokładniejszych dat, żadnych szczegółów. Przed kim starano się je ukryć? Wydaje się to całkowicie irracjonalne, bowiem w dalszej części teczki znajduje się informacja "Marcina", tyle nie z lutego 1977, lecz z września 1976 r., a także czerwcowe doniesienie szefa SB w Krakowie, że w II kwartale 1976 Moczulski (omyłkowo - Leszek Aleksander, agent nie znał mnie bliżej i pomylił z krakowskim poetą) odbył kilka tajnych spotkań mających na celu organizację struktury opozycyjnej. Traktując zawarte w tezcze materiały jako izolowaną całość, można stwierdzić, że najpóźniej we wrześniu 1976 r. Moczulski był już całkowicie zdemaskowany. Czemu czekano pięć miesięcy, aby formalnie założyć sprawę?

Nie ma żadnych przesłanek, że czekano. Sprawy o innych numerach i kryptonimach prowadzone były od dawna. Wśród milionów teczek, pozostałych po bezpiece, nie udało się - jak dotychczas - wszystkich odnaleźć; może nikt na serio nie szukał, a może zostały zniszczone, jak tyle innych, aby nie utrudnić tej ostatniej wielkiej późnej kombinacji operacyjnej MSW. 10 lutego 1977 r. założono tylko teczkę jednej z równoległych operacji, tej prowadzonej przez wydział III Komendy Stołecznej MO, a zmierzającej do eliminacji - dezintegracji i likwidacji grupy opozycyjnej, której formowanie w tym czasie - zdaniem bezpieki - wchodziło w ostatnią fazę.

Dla mnie moment rozpoczęcia operacji jest całkowicie zrozumiały. W tym samym czasie przygotowaliśmy dwie struktury organizacyjne: podziemny NN i jawny ROPCiO. NN istniał już od dłuższego czasu, bo od zimy 1975 r., kiedy w warszawskim mieszkaniu gdańszczanina Maćka Grzywaczewskiego przyjęliśmy wspólną deklarację, zatytułowaną "U Progu" - ale działalność rozwijał powoli. Po roku skupiał już dość liczne środowiska z różnych stron Polski. Konieczne było przeprowadzenie zjazdu krajowego, aby uchwalić ostateczną deklarację ideową oraz demokratycznie wybrać skład ośrodka kierowniczego NN, działającego już od wielu miesięcy pod kryptonimem ROMB. Termin wyznaczaliśmy na niedzielę 6 lutego, miejscem był podwarszawski dom mojej Matki, duży i pusty.

Zjazdu nie udało się jednak przeprowadzić. Zgodnie z planem, jego uczestnicy zbierali się w kilku punktach w Warszawie, skąd samochodami mieli być przewiezieni na miejsce, znane tylko kierowcom-przewodnikom. Bezpieka uzyskała o tym informację agenturalną i zastosowała ścisłą blokadę. Niektóre grupy uczestników znalazły się pod manifestacyjną obserwacją SB już w miejscowościach ich zamieszkania, inne na umówionych miejscach zbiórki. Na mnie czekały przed domem trzy samochody, każdy z pełną obsadą trojga funkcjonariuszy. Parogodzinne usiłowania

urwania się obstawie samochodem, pieszo, pociągiem - zakończyły się niepowodzeniem. Sprawa była jasna. Wśród nas znajdował się agent, który wiedział dużo, ale nie wszystko: znał cel spotkania, jego datę i niektórych kluczowych uczestników - ale nie wszystkich (niektórym udało się przedostać przez blokadę), zaś w szczególności nie ustalił zawczasu miejsca obrad. Zgodnie z przyjętym wcześniej planem, przewodnicy grup rozproszyli zebranych ludzi, aby indywidualnie, unikając wylegitymowania, zgubili się w mieście.

Próba zjazdu kilkudziesięciu ludzi z całego kraju, aby ostatecznie sfinalizować formowanie organizacji i uchwalić jej deklarację ideową - to dla SB był wystarczający sygnał ostrzegawczy. Trzy następne dni zajęły konsultacje na szczeblu III departamentu MSW i najpóźniej w środę podjęto decyzję przeciwdziałania, w różnych województwach (Warszawa, Łódź, Gdańsk, Kraków, Lublin, Szczecin) powołując odpowiednie grupy operacyjne, wyznaczono im zadania - i w czwartek 10 lutego 1977 r. kierownik grupy warszawskiej SB, ppor. O., formalnie zakłada sprawę przeciwko Leszkowi Moczulskiemu.

Wraca pytanie: dlaczego w teczkach "O" ten bezpośredni powód ich założenia został tak starannie ukryty? Nawet przy poprawce na całkowite zakłamanie, właściwe wszystkim poczynaniom bezpieki - wydaje się to niezrozumiałe. SB obserwowało od dłuższego czasu środowiska, z których tworzyliśmy NN, a samo przygotowanie operacji blokady, przeprowadzonej 6 lutego - wymagało zarówno decyzji jak sprawozdań na piśmie. Do jakich teczek je skierowano? Być może wyjaśnienie jest proste: chodzi o akta III departamentu MSW, a nie III wydziału KS, bowiem TW "Jan Lewandowski", który poinformował przełożonych o planowanym zjeździe, pracował na użytek tej pierwszej placówki i był prowadzony bezpośrednio przez ppłk R. Sz-kiego, naczelnika wydz. III dpt III. W bliżej nieznanym czasie, ale przed lutym 1977 r. założono tam przeciwko nam SOR "Hazardziści". Nie tłumaczy to jednak całkowitego milczenia w teczkach "O", nawet wzmianki odwołującej się do innych akt. Co i po co chciano ukryć? A może chodziło o zwrócenie uwagi na "Marcina"? Jeśli tak, przynajmniej niektóre materiały zawarte w tomie I teczek "O" musiano sporządzić znacznie później, dopiero w latach osiemdziesiątych.

Tak czy inaczej, w lutym 1977 r. formalnie rozpoczyna się operacja SB przeciwko podziemnej organizacji, której bliższe cele i charakter na razie SB nie są znane. Ale i nie najbardziej istotne; najgroźniejszy jest sam fakt, że coś takiego powstało czy powstaje. Dlatego grupa operacyjna wydz. III otrzymuje tylko jedno zadanie: doprowadzenie do całkowitego rozbitcia wrogiej organizacji.

Metody działania, jakimi w danym momencie mogła posługiwać się SB były ograniczone. Czasowo nie dopuszczano stosowania środków bezpośrednich, a zwłaszcza osadzenia w więzieniu wszystkich podejrzanych, postawienia ich przed sądem i surowego ukarania. Funkcjonariusze SB zżymali się na to często, gdyż nie rozumieli powodów takiej liberalnej polityki. Decydom nie chodziło o humanitarne podejście do wrogów ustroju (później, bez oporów, posługiwać się będą otwartym terrorem). Powody były bardziej zasadnicze. Pamiętajmy o nich, bo inaczej wszystkie późniejsze wydarzenia, aż po Porozumienia Gdańskie i tolerowanie NSZZ "Solidarność" staną się niezrozumiałe. W latach siedemdziesiątych Związek Radziecki prowadził głęboko przemyślaną politykę globalną, polegającą na utrzymywaniu coraz lepszych stosunków z rozwiniętymi krajami Zachodu (detente) oraz na polityczno-militarnej agresji w Trzecim Świecie. Możliwość taką zapewniało zwłaszcza porozumienie w Helsinkach (sierpień 1975 r.), w którym ZSRR za uznanie integralności obozu sowieckiego oraz wolną rękę w Azji, Afryce i Ameryce Łacińskiej zobowiązał się wygasić politykę agresji w Europie i formalnie przestrzegać praw człowieka. Moskwa nie zamierzała ryzykować tak korzystnie rozwijającej się polityki tylko dlatego, że gdzieś w Polsce awanturowali się jacyś zwariowani opozycjoniści, a niewyrobyony politycznie ubek chętnie by ich zamknął. Decyzji Kremla przestrzegano w warszawskim Białym Domu tym skrupulatniej, że na rok 1977 zapowiedziane były istotne imprezy międzynarodowe, zwłaszcza przeglądowa konferencja KBWE w Belgradzie, mająca w porządku dziennym sprawę przestrzegania praw człowieka, a także

wizyta w Polsce Prezydenta Jimmy Cartera, z którego osobą zarówno Breżniew jak Gierek wiązali pewne, nietrafne zresztą, nadzieje.

Rozumiałem to wszystko doskonale. Ostatecznie, powtórzmy - takie odczytanie polityki moskiewskiej stało się podstawą decyzji rozpoczęcia formowania jawnej politycznej opozycji antyustrojowej, a następnie powołania partii niepodległościowej. Już wstępna jawna struktura miała być czytelna politycznie. Stąd jej nazwa: Ruch Obrony, parafraza powszechnie znanego terminu ruch oporu. Teraz, gdy nadchodził czas zakończenia przygotowań i zrzucenia przyłbicy, świadomi byliśmy, że jeśli uda się nam przejść do jawnego działania, aresztowania przestaną grozić - przynajmniej do pewnego czasu. Była to taktyka małych kroków, wielkich skoków. Powoli i ostrożnie tworzyliśmy strukturę i przygotowywaliśmy ludzi; gdy czas dojrzał, błyskawicznie i niespodziewanie tworzyliśmy nową jakość polityczną. Było nią zarówno ujawnienie - po półtorarocznych przygotowaniach - istnienia ROPCiO jak - dwa i pół roku później - KPN. Wiedzieliśmy doskonale, że naszych zamiarów domyśla się, a przygotowania obserwuje bezpieka. Ostatecznie, przynajmniej niektórzy spośród nas zostali zdemaskowani znacznie wcześniej i mieli już za sobą więzienia. Nie chodziło nawet o ukrycie samych zamiarów, tak łatwych do odgadnięcia, ile uniemożliwienie określenia, na czym konkretnie one polegają, jak mają się wyrażać i kiedy to nastąpi. Pośrednim działaniom przeciwstawialiśmy inne działania pośrednie. Od dawna, przez długie lata, bezpieka prowadziła swoją grę - my swoją. Jeśli słowo gra jest na miejscu dla określenia tej bezpardonowej walki, która mogła się zakończyć tylko całkowitym unicestwieniem drugiej strony. Kto kogo - jak lapidarnie powiedział krwawy Lenin.

W danym czasie najważniejszym wielkim skokiem było dla nas utworzenie Ruchu Obrony. Gdyby SB rozpoznała ten zamiar na czas, była w stanie nie dopuścić do jego realizacji, a przynajmniej znacznie odwlec samo powołanie jawnej struktury opozycyjnej. Wynikało to z warunków czasu i sposobów ich wykorzystywania przez środowiska opozycyjne. Metoda była względnie prosta i obustronnie znana, gdyż stosowana wielokrotnie. Aby uwiarygodnić podejmowane działanie, przybierające zazwyczaj postać listu otwartego czy apelu - opozycjoniści czy tzw. dysydenci musieli zdobyć poparcie odpowiednio licznej grupy znanych osób, potwierdzone ich podpisami na przeznaczonym do publikacji dokumencie. Dlatego, skoro tylko bezpieka dowiadywała się, że podejmowana jest taka nielegalna inicjatywa, funkcjonariusze SB starali się zdobyć listę sygnatariuszy, aby ich zastraszyć: od tych, którzy już podpisali, domagano się wycofania podpisów, od pozostałych - nie podpisywania. Utworzenie Ruchu Obrony musiało być uwiarygodnione podpisami pewnej ilości osób znanych, a także reprezentatywnych dla środowisk, które wspólnie podjęły to działanie. Gdyby SB wcześniej odkryła ten plan i ustaliła o jakie środowiska chodzi - była w stanie całkowicie go pokrzyżować.

Obok utrzymywania w tajemnicy naszych rzeczywistych zamiarów, znanych tylko nielicznej grupie ludzi, stosowaliśmy w szerokim stopniu działania dezinformacyjne. Dlatego zdecydowałem się na przeprowadzenie na raz dwu trudnych operacji: przygotowania zjazdu NN (ostatecznie odbył się on na strychu klasztoru Jezuitów w Warszawie, gdzie SB nie mogła wkroczyć) i powołania ROPCiO. To pierwsze działanie, obejmujące znaczną grupę osób, które ponadto wcześniej omawiały w swoich środowiskach projekt deklaracji ideowej, łatwiejsze do rozpoznania przez SB - osłaniało drugie. Okazało się, że bardzo skutecznie. Dlatego powołanie ROPCiO właśnie z inicjatywy naszych środowisk niepodległościowych stało się rzeczywistym zaskoczeniem nie tylko dla najwyższych władz PRL, lecz również Służby Bezpieczeństwa.

Powstanie Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Polsce ogłosiłem w sobotę 26 marca 1977 o godz. 17.00 na jawnej konferencji prasowej w mieszkaniu Antoniego Pajdaka na siódmym piętrze wieżowca przy ul. Próźnej, w pobliżu obecnego ronda ONZ. Obok gospodarza - wielkiej postaci polskiej irredenty niepodległościowej, w konferencji uczestniczyli Adam Wojciechowski i Wojciech Ziemiński, a także moja żona i córka Wojtka jako obsługa techniczna; przybyli tylko

dziennikarze zagraniczni, przedstawiciele czterech redakcji krajowych odesłali zaproszenia, które doręczaliśmy od 9.00 rano. Gdy przed południem spotkałem się w kawiarni "Lajkonik" na placu Trzech Krzyży ze Zbigniewem Żaluskim, członkiem ekipy doradców Gierka, a moim ważnym informatorem, był bardzo podekscytowany: *Powstaje Komitet Praw Człowieka, ale nie zakłada go korowskie "towarzystwo gerontologiczne", tylko jakaś inna grupa, zaproszenie na konferencję prasową dostarczył do PAP jakiś Adam Wojciechowski, podobno niepodległościowiec... W Białym Domu (gmach KC PZPR - LM) kompletne zaskoczenie!*

W bezpieczeństwie również. W aktach niema najmniejszego śladu, aby masz zamiar odczytano wcześniej. Skuteczna okazała się szybkość działania (podpisy zaczęliśmy zbierać w piątek późnym popołudniem, lista sygnatariuszy skompletowana została w sobotę rano, materiały dla prasy skończyliśmy przygotowywać godzinę przed konferencją prasową), ale jeszcze bardziej powiodły się najprzeróżniejsze formy wielotygodniowej kampanii dezinformacyjnej, odwracającej uwagę SB. O wszystkim bezpieka dowiedziała się z Wolnej Europy. Datowany dopiero na 28 marca meldunek SB, umieszczony w teczce "O" zawiera wyłącznie dane, które dwa dni wcześniej przekazaliśmy dziennikarzom zagranicznym na konferencji prasowej. Krajowi też by je otrzymali, ale zabroniono im przyjść. W sobotę wieczorem materiały te rozgłosiła na cały świat RWE, a w poniedziałek w "Trybunie Ludu" ukazał się artykuł niejakiego Bareckiego "Antypolskiej prowokacji ciąg dalszy".

Utworzenie Ruchu Obrony było wstrząsem dla SB, ale nie wpłynęło na cel, sposób i kierunki działania. Były one określone już w chwili założenia teczek operacyjnego rozpracowania Leszka Moczulskiego - a w rzeczywistości grupy, do której przywódców obok Moczulskiego zaliczono Andrzeja Czumę, Wojciecha Ziemińskiego, Adama Wojciechowskiego i Kazimierza Janusza. Zadanie było proste: zniszczyć wrogą organizację w taki sposób, aby uległa samorozwiązaniu w następstwie konfliktów wewnętrznych, wywołanych wzajemnym brakiem zaufania oraz sporami ambicjonalnymi i programowymi. Osiągnąć to zamierzano stosując głęboko przemyślaną, skomplikowaną kombinację operacyjną.

Jakże niewinnie brzmi ten termin: kombinacja operacyjna. Zupełnie jakby chodziło o partię szachów. W rzeczywistości celem mogło być równie dobrze morderstwo - upozorowane na samobójstwo, oszczerza kompromitacja człowieka, zdobycie fałszywych dowodów czy wymuszenie zgody na współpracę.

Teczki "O" zawierają dokumentację klasycznej kombinacji operacyjnej, takiej jakiej najczęściej stosowano w latach siedemdziesiątych. SB rozpoczyna od pełnej mobilizacji agentury. Obok tajnych współpracowników SB, którzy do tej pory obserwowali potencjalnie podejrzanych (w niewielkiej redakcji tygodnika "Stolica", gdzie pracowałem do 1977 r., zajmowało się moją osobą paru TW: "Jerzy", "Józef Potocki", "Hanka" - to mężczyzna!), do akcji włącza się agentów, wcześniej działających na innych odcinkach i na rzecz innych agend bezpieczeństwa - ale znających kogoś ze środowiska Ruchu Obrony (takim był np. "Jan Lewandowski", dla departamentu III MSW rozpracowujący tzw. komandosów, a także środowiska SPATIF). Przegrupowani zostają konfidenci o wyróżniających się umiejętnościach, którzy teraz dostają polecenie wejścia w nowe dla nich środowiska oraz dotarcia do wyznaczonych figurantów. Równocześnie wśród osób, które mają tego pecha, że znają, choćby pobieżnie, aktywnych działaczy Ruchu Obrony rozpoczyna się masowa akcja celem zwerbowania - dobrowolnie czy pod przymusem - nowych agentów, półagentów, pośredników agentury i przekaźników treści nadawanych przez SB, choćby na tyle tylko zastraszonych, że gotowych odpowiadać na niewinne pytania. Znaczna część teczek "O" zawiera dane osobowe osób potencjalnie możliwych do pozyskania. Polecenia są wyraźne: pozyskać lub zneutralizować (tj. zastosować blokadę uniemożliwiającą działanie), w razie potrzeby użyć środków profilaktyczno-represyjnych. Sięga się do starej kadry. Cała agentura, która ongiś działała w środowiskach kombatanckich, głównie AKowskich i tzw. sanacyjnych, ale została już wycofana z aktywnej pracy - teraz zostaje postawiona na nogi. Ma działać przez swoją masę, liczni agenci kierowani są na poszczególnych działaczy ROPCiO, choćby po to, aby podnosząc najrozmaitsze

sprawy, blokowali im czas. Do tego dochodzą agenci działający wśród przestępczości kryminalnej, teraz pod pozorem interwencji mający uwikłać opozycjonistów w jakieś brudne afery czy wybryki obyczajowe lub chociażby stworzyć takie wrażenie.

Wbrew obiegowym poglądom, głównym zadaniem całej tej agentury nie jest zdobywanie informacji. To prawie wyłącznie agenci wpływu. Teczki "O" ukazują metodę pracy. Gdzieś poza sceną, w jakimś innym wydziale, którego tajne! szczególnego znaczenia akta ciągle są dla nas niedostępne, przygotowuje się odpowiednie treści, na każdego figuranta osobno. Pod baczną kontrolą ppłk Mj., oficera SB i KGB, te prowokacyjne i oszczercze zalecenia do kolejnych planów działania i do zadań wyznaczanych poszczególnym agentom wprowadza ppor. O. Tajni współpracownicy prowadzeni są precyzyjnie. Ppor. O instruuje ich szczegółowo: co powiedzieć, komu, kiedy, w jaki sposób, jak ocenić reakcję. Tylko nieliczni TW mają dostęp do rzeczywistych przywódców Ruchu Obrony, większość dociera ledwie do obrzeży środowiska. Znow liczy się masowość: gdy liczni agenci powtarzają te same lub podobne pogłoski, z wolna zaczyna tworzyć się pewien klimat psychologiczny, który potężniejszymi falami przebija się do środka. Obok tego występuje precyzja: łańcuszki osób, starannie dobrane i ukierunkowane na jednego odbiorcę. Znałem je z drugiej strony. Gdy docierały do mnie informacje, które oceniałem jako pochodzące od SB, staraliśmy się ustalić przynajmniej końcowe ogniwa łańcuszka. Teraz mogę poznać początkowe. Struktura takiego łańcuszka za każdym razem była taka sama, lub bardzo podobna. Zaczynało się od oficera operacyjnego, wykonującego swoje zadania z ramach kombinacji operacyjnej. Przekazywał on agentowi przygotowaną wcześniej treść - na ogół fałszywe oskarżenie czy pomówienie, często wsparte fałszywym dowodem. Dalsze ogniwa miały kolejność logiczną. Najpierw półagent, który mógł domyślać się, że chodzi o fałszywe doniesienie, a wiedział, że zleca go bezpieka. Później człowiek naiwny, ale cieszący się jakimś autorytetem w środowisku. Następnie mniej naiwny, ale mający zaufanie do poprzednika. Wreszcie ludzie zaprzyjaźnieni lub bliscy figurantowi, którzy w najlepszej wierze starali się go ostrzec, uchronić przed niebezpieczeństwem czy perfidią i nieszczerością kolegów, powiadomić co lub kto mu zagraża.

Nieraz taki łańcuszek można było skrócić. Nawet bardzo. Stosowana niejednokrotnie zagrywka: wybraną na przekaźnika osobę wzywano pod byle jakim pozorem, a w trakcie przesłuchania funkcjonariusz SB przeglądał jakąś teczkę. Delikwent dostrzegł, że jest w niej duża koperta z widocznym nadrukiem Zobowiązanie tajnego współpracownika, a także jakieś materiały, pozwalające zidentyfikować, o jaką osobę chodzi (w moim przypadku były to kserokopie wielkich tytułów recenzji "Wojny polskiej" - napisanej przeze mnie książki, głośnej w latach siedemdziesiątych).

Podczas tych kilkudziesięciu lat rozmaitych bojów z bezpieką zdarzało mi się wielokroć, że "konspiracyjnie" nawiązywał ze mną kontakt jakiś znajomy i po cichu, w największej tajemnicy powiadał: *wezvano mnie na przesłuchanie... udało mi się dojrzeć... Iksiński...* Co najgorsze, nigdy nie mogliśmy mieć pewności, że to tylko podpucha.

Łańcuszki, pozwalające na przesłanie przygotowanych treści aż do wybranego działacza opozycji łączone były w sieć. Poszczególni agenci mogli się domyślać, ale na ogół nie znali innych jej oczek. Także oficerowie prowadzący, w których ręku były końce poszczególnych łańcuszków niewiele wiedzieli o innych elementach sieci. W przypadku operacji "O" dość długo całość - wprawdzie tylko warszawska - znało tylko ok. pięciu oficerów, wśród nich ppłk Mj i ppor. O.

Agentów było bardzo wielu. Na podstawie akt przedstawionych Sądowi nie da się ustalić ich ilości nawet w przybliżeniu; tylko ta agentura, której udało się dotrzeć do bardziej prominentnych opozycjonistów może zostać skatalogowana. Najgroźniejsi byli ci, którzy nie tylko mieli bezpośrednie dotarcie do przywódców - ale też cieszyli się ich choćby ograniczonym zaufaniem. W przypadku środowisk niepodległościowych, które uformowały NN i ROPCiO - dwu takich agentów

było szczególnie groźnych. Ale względnie skutecznie działało ich więcej.

Już pierwszy etap kombinacji operacyjnej "O" wymierzony został w bardzo czuły punkt: stosunki pomiędzy dwoma istniejącymi jawnie strukturami opozycyjnymi: KOR i ROPCiO. Wedle kryptonimów stosowanych przez SB, pierwsza struktura określana była mianem gracze - szulerzy, druga hazardziści - oszuści. Pierwsza prowokacja organizowana przez SB po ujawnieniu Ruchu Obrony miała za cel uniemożliwienie współpracy między tymi środowiskami i doprowadzenie do wzajemnej walki. Zaczęło się od nowych zadań dla tajnych agentów, mających bezpośrednio czy pośrednio dotarcie do członków i sympatyków KOR - początkowo w teczkach wymienia się J. Rybickiego, ks. Ziębę, L. Cohna, L. Kumanta. Podrzucić im należy informację, że to bezpieczeństwa stoi za Ruchem Obrony Praw Człowieka i Obywatela - który powołano po to, aby doprowadzić do kompromitacji i rozbitcia KOR.

Dziś taka insynuacja może wydać się naiwna, ale wówczas było to działanie trafne i groźne, nawet pamiętając, że dobór osób - odbiorców oszczerstwa był w większości błędny. Nieliczne grupki opozycjonistów zagrożone były ze wszystkich stron, a tajemnicą poliszynela stałe dążenie SB do tworzenia wszechoplatającej sieci agentury. Raczej przecenialiśmy, niż lekceważyliśmy to niebezpieczeństwo, a każdą pogłoskę traktowaliśmy bardzo poważnie. W tym wypadku działał dodatkowo szczególny powód: obcość środowiskowa i ideowa, występująca pomiędzy dwoma grupami opozycji. Wspominałem o tym wyżej, ale teraz o konkretnych, które odczuwaliśmy niesłychanie silnie.

Bardzo różniliśmy się od grupy rdzeniowej KOR, którą Adam Michnik nazwał w wydanej w owym czasie książce lewicą laicką, choć nie wszyscy jej członkowie mieli lewicowe przekonania. Występowały między nami silne różnice programowe i przede wszystkim środowiskowe. Prawica niepodległościowa, jakkolwiek w swych przekonaniach nie zawsze prawicowa, wywodziła się ze środowisk dawnego antykomunistycznego ruchu oporu. Skupialiśmy się wokół osób, które działalność niepodległościową rozpoczęły wcześniej, nieraz bardzo dawno, jeszcze przed 1905 r. Gdy starsi odchodzili, naturalną rzeczą kolejną przejmowali pałeczkę młodszy. Trwało to nieprzerwanie. W sierpniu 1976 r. zmarł gen. Abraham, w marcu 1977 r. (tuż przed ogłoszeniem Ruchu Obrony) płk. Muzyczka, wiosną 1979 r. płk. Pluta-Czachowski, na początku lat osiemdziesiątych - płk. Szostak, w 1987 r. - płk. Antoni Sikorski. Następcami była generacja dzieci i wnuków: Staś Muzyczka, Wojtek Szostak, synowie poległych lub zamordowanych w latach czterdziestych oficerów - Andrzej Szomański, Rysiek Zieliński, Krzysiek Gąsiorowski, bratanek gen. Waleriana Czumy - dowódcy Obrony Warszawy - Andrzej Czuma; wszystkich wyliczyć nie sposób. Wielu z nas miało za sobą więzienia. Ukształtowaliśmy się w środowisku powstańczo-akowskim, gdzie pierwszą prawdą było przeświadczenie, że Polska znajduje się ponownie w niewoli rosyjskiej, a pierwszym celem uwolnienie Jej spod sowieckiej hegemonii. Sprawy ustrojowe były na drugim miejscu. Wielu z nas niewiele to interesowało: w niepodległej Rzeczypospolitej demokratycznie wybrany zostanie odpowiedni ustrój. Innych różniły przekonania: ktoś uważał się za socjalistę, inny za chrześcijańskiego demokratę albo konserwatystę; wiedzieliśmy, że może to podzielić nas w przyszłości, ale chcieliśmy wierzyć, że dopiero wtedy gdy powstanie Niepodległa. Stosunek do PRL mieliśmy zdecydowanie wrogi: to jedynie forma sowieckiego wladztwa nad zniewoloną Polską. Pamiętaliśmy doskonale, że wielkie powstania narodowe wymierzone były w podobne formy na wespół autonomicznych państwowości - wprawdzie formalnie polskich, ale zależnych od Rosji. Tradycji powstańczej towarzyszyło przekonanie, że żadne reformy ustrojowe PRL nie zmienią istoty tego państwa; liberalizację reżimu traktowaliśmy jedynie jako narzędzie i sposobność do wznowienia walki. Sporów frakcyjnych w PZPR nie rozpatrywaliśmy w kategoriach dyskursu o wartości programowe, lecz jako wzajemne wyniszczanie się komunistów i sowieckiej agentury; jednym i drugim życzyliśmy ironicznie jak największych sukcesów, najlepiej całkowitego unicestwienia przeciwnika.

Przyszłość mogliśmy wyobrażać sobie różnie i hołubić odmienne polityczne nadzieje: łączyło nas poczucie obowiązku odzyskania niepodległości i demokracji. To był cel najbliższy i punkt zero: dopiero w suwerennym państwie o ustroju demokratycznym Polacy - a my wśród nich - będą mogli rozwiązywać polskie sprawy tak, jak będą chcieli i jak potrafią. Lepiej czy gorzej, ale przez nas - i dla nas.

Środowiska, z których wyrosła lewica laicka, związane były bezpośrednio z PRL. Zaangażowały się w budowę Polski Ludowej, nieraz na bardzo paskudnych odcinkach - ale na ogół serio traktowały hasła zaprowadzenia sprawiedliwości społecznej oraz program stworzenia doskonałego społeczeństwa bezklasowego. Po wstrząsie lat 1953-56, gdy im - nie nam - rozpadły się busole ideowe, szukali rozpaczliwie nowych wartości i nowych rozwiązań ustrojowych. Mieściły się one całkowicie w PRL i ustroju socjalistycznym - jedno i drugie pozostawało niepodważalne. Te rewizjonistyczne poszukiwania zepchnęły najbardziej ideowe grupy na pozycje opozycyjne wewnątrz PZPR - ale jeszcze nie przeciw partii. Działała jednak, identycznie jak u nas, wymiana pokoleniowa. Synowie i wnukowie ludzi, którzy rozpoczynali aktywność polityczną w ruchu komunistycznym, albo na lewym skrzydle ruchu socjalistycznego, gotowi byli iść dalej. Odrzucali zbiurokratyzowaną wersję socjalizmu. To postawiło ich na przeciw establishmentu partyjnego. Zostali wypchnięci z PZPR i legalnych organizacji młodzieżowych, stali się opozycją działającą na zewnątrz partii, a w następstwie represji, przymusu emigracji, także więzień - demokratyczną opozycją przeciw totalitarnej PZPR, choć daleką od myśli likwidacji PRL.

W latach siedemdziesiątych formująca się nowa lewica laicka porzuciła już była rewizjonizm, próby odczytania na nowo marksizmu-leninizmu, powrotu do jego zdrowych źródeł, co jeszcze w latach sześćdziesiątych starali się czynić Jacek Kuroń z Karolem Modzelewskim (przy pewnej współpracy Bolesława Tejkowskiego - jakby nie było członka egzekutywy KK PZPR w końcu 1956 r.) Nadal jednak bliskie im były hasła socjalizmu z ludzką twarzą czy humanizmu socjalistycznego. Generalnie, myśleli o takiej reformie PRL, która przekreśli totalitaryzm, a przywróci rzekomo zagubiony społeczny sens ustroju. My dostrzegaliśmy w tym wszystkim komunistyczne naprawiaństwo - niebezpieczne, bo konserwujące stan niewoli.

Długo patrzyliśmy na siebie wrogo, później nieufnie. W końcu lat pięćdziesiątych biwakowały obok siebie w Bieszczadach drużyny harcerstwa leśnego - organizowane m. in. przez Krzyśka Gąsiorowskiego oraz harcerstwa czerwonego, kierowane przez Jacka Kuronia. Nie utrzymywano żadnych stosunków; w złośliwej pamięci pozostała pomoc leśnych przy rozpaleniu czerwonym ogniska po deszczu - a na propozycję jakiegoś zrewanżowania się, brutalna odpowiedź: pomocy ideolo nie potrzebujemy! W tym też czasie rozpętały się w oświeconej części społeczeństwa wielkie dyskusje historyczne. Oni szukali nowych wartości intelektualnych i artystycznych w potępianiu i wyśmiewaniu powstań narodowych, gorzej: każdej własnej aktywności Polaków, co - na ironię - nazwali szkołą polską. My dostrzegaliśmy w tym perfidny zamiar moralnego rozbrojenia Polaków, uniemożliwienia nowego wielkiego czynu niepodległościowego. Dla nich historia Polski rozsypywała się w popiołach, dla nas odradzała - jak feniks - z popiołów; dla nich Polacy wprowadzali się do zamkniętego kratą kanału, dla nas kanał był tylko trudnym przejściem do dalszej walki. W latach sześćdziesiątych, gdy stały się jawne podziały frakcyjne w PZPR, doprowadzała nas do białej gorączki frazeologia niepodległościowa ubeckich partyzantów gen. Moczara jak hasła demokratyzacji głoszone przez liberałów, którzy wcześniej zniewolili Polskę. Nas wszystkich. A cóż dopiero tych, którzy na własnych łamanych kościach nie byli w stanie dopatrzeć się różnic między chamami i Żydami - że posłużę się głośnym terminem Jerzego Jedlickiego¹.

¹ Uzupełnijmy ten głośny artykuł, ogłoszony przez "Kulturę" paryską: wśród chamów niejeden legitymował się wyższym wykształceniem, do Żydów zaliczano osoby o niewątpliwym pochodzeniu z rodzin etnicznie polskich i głęboko katolickich.

Świadomie czy nieświadomie, my i oni monopolizowaliśmy prawo do opozycji. Środowiska wyrosłe z establishmentu były przekonane, że wszystkie działania publiczne rozgrywają się jedynie w ramach elity polityczno - intelektualnej PRL. Opozycja może powstać tylko w tych wysublimowanych środowiskach, powiązanych służbowo i rodzinnie. Poza nimi pozostaje bezkształtna masa, pozwalająca się wodzić za nos: to tylko kasza - jak o społeczności nowohuckiej, wkrótce tak pięknie wkraczającej do historii, napisał pewien przerażony postinkwizytorski poeta. Jeśli więc ktoś podejmował działania opozycyjne - ba, tylko polityczne - musiał opowiedzieć się po stronie którejś frakcji, czy chociażby tendencji występującej w elicie władzy. Gdy nie był liberałem, musiał być moczarowcem (ideolodzy z MSW rozumowali przeciwnie: jeśli nie był partyzantem, musiał być syjonistą²). Ślady takich przekonań pozostają do dzisiaj, gdy źródeł opozycji szuka się wyłącznie w środowiskach niejako uprawnionych do polityki, a za punkty zwrotne uznaje jakieś zjazdy, plena [w PZPR nazywano to z sowiecka plenumy] czy wystąpienia, ujawniające podziały i konflikty wewnątrz PZPR. Ogromna większość społeczeństwa, w tym funkcjonujące poza establishmentem elity społeczne uciekają uwagi większości badaczy. Zwłaszcza, że działający w nich ludzie nie pozostawili w nadmiarze wiarygodnych, bo pisanych dowodów swej aktywności. Cóż, antysowieckie knowania to nie szukanie sprzeczności, ani drogowskazów w myśli młodego Marksa; prędzej się szło do piachu, niż dostawało jednostronny paszport zagraniczny.

Nasze środowiska, łączące nie dobite resztki najszerzej pojętej dawnej elity Polski Niepodległej oraz grupy ludzi młodych, uformowanych na ogół poza komunistyczną indoktrynacją tworzyły zupełnie odrębną, autonomiczną wartość. Istniała ona i funkcjonowała w ramach społeczeństwa takiego, jakie było i jak się przekształcało - w żadnym wypadku poza rzeczywistością. Byliśmy świadomi istnienia tamtej elity i podziałów jakie w niej występują; uwzględnialiśmy to we własnych działaniach, wykorzystywaliśmy nawet. Mieliśmy własne podziały, nieprzetłumaczalne na tamte, przeniesione bezpośrednio z Drugiej Rzeczypospolitej. Z ironią przyjmowaliśmy takie oskarżenia liberałów, że jesteśmy endekami spod znaku Piłsudskiego czy też moczarowców, uważających nas za niedobitki faszystowskiej, obszarniczo-fabrykanckiej sanacji (dosłownie!). Oni dla nas byli elitą peerelowską, czymś wręcz przeciwnym od autentycznej elity polskiej. Przymiotnik peerelowski był maksymalnie pejoratywny. Termin komunista nie miał takiego znaczenia: mieścił w sobie czynnik ideologiczny, godny równego szacunku jak określenie zwolennika jakiegokolwiek innej ideologii. Jeśli posługiwaliśmy się nieraz wymiennie terminami komunistyczny i peerelowski, było to uproszczenie spowodowane tym, że władze określały nas najczęściej jako antykomunistów. Peerelowcy byli bezideowcami, a najlepszym przypadku oportunistami. Otóż elita peerelowska generalnie utożsamiana była z tymi, którzy w obcym interesie sprawowali władzę nad zniewoloną Polską. Można było wyrwać się z tej elity, ale w głowach wielu z nas nie mieściło się, że w jej ramach mogłaby powstać autentyczna opozycja. To albo oszukaństwo, albo rodzinne spory, jak zreformować reżim, żeby łatwiej trzymać w ryzach Polaków. Do dzisiaj żywe utrzymało się

2 W latach 1961-77 pracowałem w Warszawskim Tygodniku Ilustrowanym "Stolica". Było to pismo przeznaczone dla wrogów i politycznie podejrzanych, których po Październiku trzeba było gdzieś umieścić. Większość członków zespołu redakcyjnego stanowili ludzie, którzy mieli za sobą więzienia PRL lub obozy sowieckie, a co najmniej partyzantkę AK na Wschodzie, m. in. (alfabetycznie): W. Bartoszewski, Zb. Grzybowski, L. Moczulski, St. Poznański, M. Sadzewicz, Z. Siemaszko, J. Smogorzewski, T. Syga, A. Szomański. Do współpracowników pisma należała cała galeria dowódców i bohaterów Września 1939, AK i Powstania Warszawskiego. Naczelnym redaktorem - Leszek Wyszacki był jednym z najbardziej radykalnych działaczy 1956 r., a jako szef *Expressu Wieczornego* bezpardonowo i po nazwiskach atakował cały beton partyjny; wkrótce po Październiku odwołany, a po jakimś czasie zesłany do marginalnego pisemka. Taki skład redakcji powodował, że dla wodzirejów warszawskiej żurnalistyki i uznanych aranżerów partyjnych środowisk twórczych "Stolica" była zbiorowiskiem starej reakcji, dożywającym swoich dni zaściankiem - wedle określenia Jerzego Putramenta. Dla partyjnych liberałów byliśmy polskimi nacjonalistami, a więc moczarowcami; dla partyjnych partyzantów - sanacyjno-akowskimi relikami zbrojnego podziemia, swoistą ekspozyturą demo-syjonistów do głoszenia dywersyjnych haseł demokratyzacyjnych. Ten atak z obu stron ani nas dziwił, ani - przynajmniej niektórych - martwił. W takiej redakcji nie zabrakło - rzecz jasna - agentury MSW. Znany w Marcu 68 red. Tadeusz Kur, jeżdżący po publicznych zebraniach ze stertą ubeckich teczek, wcześniej na polecenie KC PZPR został zatrudniony w "Stolicy"; jeszcze przed 1968 r. odważnie usunął go Wyszacki, gdy Kura przyłapano, jak wynosił z redakcji złamane już, ale jeszcze nie przesłane do cenzury kolumny "Stolicy".

nieprawdziwe przekonanie, że celem tych, którzy wywodząc się z establishmentu podjęli działania opozycyjne było jedynie - i od samego początku - doprowadzenie do swoiście pojmowanej Magdalenki. Wtedy - przynajmniej w środowiskach krwawo represjonowanych w PRL - niejednokrotnie posługiwano się obrazowym rozróżnieniem: młodzi reformatorzy, często powiązani rodzinnie z byłymi czy aktualnymi władcami PRL, traktowani są jak enfant terrible - zbuntowane dziecko, któremu można dać klapsa, a najsroższą karą jest danie paszportu (niespełnialne marzenie zwykłego obywatela!) i wysłanie za granicę, aby nie rozrabiał w kraju. Dla prawdziwego wroga karą jest - jeśli ma szczęście - długoletnie więzienie. Rzeczywistość coraz wyraźniej zaprzeczała takiemu uproszczonemu rozumowaniu, ale nie ustępowało ono wcale łatwo.

Dzisiaj wiem, jak bardzo nie rozumieliśmy się nawzajem. Tym bardziej nie rozumieliśmy się, że wszyscy - i my, i oni - w tym co robiliśmy pragnęliśmy być krańcowo uczciwi. Trwało to - trwa - bardzo długo. Zimą 1980/81, gdy siedziałem już w więzieniu, wybitnie inteligentna działaczka KSS "KOR", całym sercem organizująca pomoc dla więzionych za przekonania członków KPN (termin więzień polityczny nie przechodził przez gardło), pytała mojej żony: *czy nie odczuwasz, że domaganie się niepodległości brzmi jakoś faszystowsko?* Na nasz postulat, jawnie podnoszony od połowy lat siedemdziesiątych, aby utworzyć Trzecią Rzeczpospolitą, jeszcze zimą 1989-90 usłyszałem z ust. wybitnego b. opozycjonisty, a teraz działacza państwowego: *jak to, przecież PRL jest III Rzeczpospolitą, jak zmienimy konstytucję, będziemy mogli mówić o IV³*. Dziesięć lat wcześniej człowiek, do którego mogłem czuć tylko najwyższy szacunek, mówił: *szukasz porozumienia z KOR? Jego członkiem jest "towarzysz" Z.W., który w 1945 r. nawoływał w gazetach, aby nas wieszać publicznie!*⁴

Taki był stan początkowy, w niewielkim tylko stopniu przełamany w dziesięcioleciu poprzedzającym utworzenie demokratycznej opozycji. Z drugiej strony, przynajmniej u niektórych, narastało przekonanie, że sama *réalité des choses* - wymogi realnego czasu - wymuszają porozumienie wszystkich, którzy pozostają w opozycji do istniejącego stanu rzeczy, zarówno minimalistycznej jak maksymalistycznej. Od końca lat sześćdziesiątych zaczęli znajdować się ludzie, którzy przekraczali barierę i nie opuszczając swojego środowiska, znajdowali miejsce w drugim. Jednym z miejsc takiego spotkania stały się podwarszawskie Laski. Co do mnie, nieuniknioną potrzebę zbliżenia rozumiałem od dawna, nawet przekonywałem do niej innych - ale

3 To Francuzi dzielą swoje republiki według konstytucji. I to dopiero od drugiej połowy XIX w. Pierwsza republika powstała po zniesieniu monarchii w 1792 r. ale miała parę kolejnych konstytucji. Później przyszło I cesarstwo i restytucja królestwa. II republika wyłoniła się z rewolucji 1848 r., ale po niej nastąpiło II Cesarstwo. III Republika powstała 1875. Postulaty zmiany jej konstytucji zaczęto określać jako domaganie się utworzenia IV Republiki. Powstała ona ostatecznie w 1946 r. wraz z uchwaleniem nowej konstytucji. Kolejna konstytucja z 1958 stworzyła V republikę. W Polsce przyjęliśmy podział nie według konstytucji, lecz niepodległości. W okresie międzywojennym mówiło się o Drugiej Niepodległości, choć pod rządami dwu kolejnych konstytucji. Gdy po 1956 r. zaczęliśmy podnosić potrzebę niepodległości, szukając określenia w miarę cenzuralnego i trochę pod wpływem terminologii utworzonej właśnie przez gen. de Gaulle'a V republiki - jeszcze przed 1960 r. sprecyzowaliśmy pojęcie "Trzecia Rzeczpospolita", co można było tłumaczyć jako postulat zmiany konstytucji - domyślnie na konstytucję niepodległego państwa (po raz pierwszy w druku użyłem tej nazwy w początku lat sześćdziesiątych w tygodniku "Stolica"). Terminem Trzeciej Rzeczypospolitej posługiwaliśmy się nieprzerwanie przez wiele lat, w dyskusjach i - sporadycznie - publikacjach, a od 1977 r. już nieprzerwanie w wydawnictwach ROPCiO, a od 1979 r. KPN łącząc go bezpośrednio z żądaniem odzyskania niepodległości. Może najpełniejszy wyraz znalazło to w mojej książce "Trzecia Rzeczpospolita. Zarys ustroju politycznego", zawierającej omówienie projektu konstytucji, przygotowanej przez nn. Pierwsze, skrócone wydanie tej pracy ukazało się poza cenzurą w 1978 r. a pełne w kraju w 1984 r. oraz na emigracji w Paryżu w 1987 r. Termin uzyskał sankcję oficjalną, gdy w grudniu 1990 r. Lech Wałęsa przejmując urząd, określił się jako Prezydent Trzeciej Rzeczypospolitej. Parę miesięcy wcześniej, pracując w Senacie nad projektem konstytucji, używano terminu "IV Rzeczpospolita".

4 Nie były to czcze słowa. W latach 1945-47 w województwach białostockim, warszawskim, lubelskim i rzeszowskim działały tzw. sądy polowe, w postępowaniu uproszczonym do minimum wydające wyroki śmierci, natychmiast wykonywane publicznie przez rozstrzelanie lub powieszenie. Przykładowo, w dniach 28 grudnia 1946 - 2 stycznia 1947 tylko w jednym powiecie - bielskim (woj. białostockie) na mocy takich "wyroków" w publicznych egzekucjach zastrzelono 8 osób a powieszono jedną (na rynku w Ciechanowcu - w obecności paru tysięcy spędzonych siłą ludzi).

rozumiałem to bardziej teoretycznie, niż praktycznie. Łatwiej nam było rozmawiać nawet z historycznym wrogiem nr 1 – czyli endekami, niż z dysydentami, jak określaliśmy środowiska lewicy laickiej, świadomie przecież podkreślając ich odszczepieńczy wobec PZPR charakter. Zachował się dokument wewnętrzny z wiosny 1977 – “Cele i wytyczne działania” - przeznaczony dla potrzeb Konwentu, a także tych środowisk nn (krajowych i emigracyjnych), które miały uczestniczyć w jawnych działaniach. Pisałem w nim: *Współdziałanie z innymi nurtami. Stoimy na stanowisku, że w obecnych warunkach konieczna jest obiektywnie jedność działań wszystkich nurtów opozycyjnych, mimo różniących je programów, metod działania itp. Rzecznikami tej jedności będziemy w każdych warunkach, nawet w obliczu ataków ze strony innych sił opozycyjnych. Uważamy jednak, że ta jedność musi następować w oparciu o formułę pluralizmu opozycji i przeciwstawiamy się stanowczo wszelkim zamysłom tworzenia monopartii w opozycji. Wkrótce po czerwcu [1976 r.] zaczęliśmy nawiązywać bądź dynamizować robocze kontakty z innymi nurtami opozycyjnymi. Wystąpiliśmy wówczas z inicjatywą stworzenia wspólnego programu minimum, obejmującego te żądania, wokół których należy organizować aktywność społeczną i które mogą być realizowane w dającej się przewidzieć przyszłości. Inicjatywę tą podjęły kręgi endeckie, niektórzy ludowcy-agraryści i reformistyczni demokraci, a także poparli ją dyssydenci. Przygotowaliśmy zarys tego programu, skonsultowaliśmy go z innymi – poza dyssydentami, którzy przyjęli go do wiadomości, lecz stwierdzili, że swoje uwagi mogą przedstawić dopiero za 2 miesiące. W rezultacie, po konsultacjach i nadaniu ostatecznego kształtu, projekt ten opublikowaliśmy w sierpniu jako PROGRAM 44 (zawiera on 44 tezy). Od jesieni rozpoczęliśmy, głównie z dyssydentami i endekami, rozmowy na temat utworzenia Komisji Porozumiewawczej, która koordynowałaby poczynania całej opozycji. Dyssydenci stosują tutaj taktkę opóźniania, w rezultacie czego komisja ta nie powstała dotychczas. Wytworzyliśmy natomiast sprawnie działające kontakty z endekami, w każdym razie na szczeblu centralnym, bo w terenie jest gorzej (zwłaszcza w Poznaniu), a następnie z dwoma różnymi grupami chadecji, z reformistycznymi demokratami, wreszcie bardzo obiecujące z ludowcami.*

Różne próby zbliżenia łatwo przekreślały emocje. Nawet wówczas, gdy już nadchodził huragan. Pamiętam imieniny, jakie w kwietniu 1976 r. urządził Wojtek Ziemiński. Zaprosił całą opozycję - a ściślej nie tak znów liczną jej młodszą część, dorosłą dopiero po wojnie. Przygotował wielkie przyjęcie, lecz większość stojących na stołach butelek nawet nie została otwarta. Całą imprezę zdominował wielogodzinny, dramatyczny chwilami dyskurs między Kuroniem a Moczulskim. Raz po raz, gdy od własnych, ostro zarysowanych racji dochodziliśmy do oceny rzeczywistości, pojawiała się w tle jakby wspólne zrozumienie konieczności współpracy - ale wystarczyło jedno nieopatrne słowo, gdy cofaliśmy się, zamykaliśmy, jak jeź wystawiając kolce. W pewnej chwili Jan Józef Lipski, który wspierał Jacka, powiedział: *Jeśli ma być niepodległa Rzeczypospolita z Berezą - to ja wolę tak, jak jest.* Niektórzy z nas stracili oddech. To był koniec dyskusji, jakkolwiek spiraliśmy się jeszcze parę godzin, do bladego świtu.

Niezależnie od różnic środowiskowych, szło o pryncypia. Głosiłem program maksymalistyczny. Nazywałem to osiągnięciem stanu zerowego: przywrócenia niepodległości państwowej, ustroju demokratycznego i gospodarki rynkowej; gdy to nastąpi sami Polacy – lepiej czy gorzej - urządzią sobie własny kraj. Osiągnięcie tego celu okazało się całkowicie realne. W latach siedemdziesiątych nic jeszcze nie było przesądzone. Obawiałem się, że głównym zagrożeniem dla naszego programu może stać się zwycięstwo rozwiązań minimalistycznych. Zdawałem sobie z tego sprawę, że może zwyciężyć hasło kolejnej odnowy PRL w ramach istniejącego systemu ustrojowego i geopolitycznego – i dlatego krytykowałem takie programy. Była to polityczna potrzeba czasu. Byłem wówczas - i jestem dziś - świadomy, wszystkie one wynikały z odmiennej wyobraźni i przekonań, ale również wszystkie były uczciwe. W tym kontekście trzeba docenić dobrą wolę wszystkich, którzy decydowali się na jawny sprzeciw wobec totalitarnej rzeczywistości. Wszystkich: niepodległościowców i reformatorów, w tym reformatorów wyłamujących się z dyscypliny wewnątrz PZPR.

Wiedzieliśmy, jak bardzo się różnimy, wiedziała o tym bezpieka. Wgłębiając się w akta sprawy, odnoszę wrażenie, że działania SB wymierzone w ROPCiO stanowiły - przynajmniej początkowo - prostą kontynuację kombinacji operacyjnej, wymierzonej w KOR, przy czym różnice programowo-ideowe, występujące między obu tymi grupami miały dla ubowców znaczenie tylko instrumentalne: możliwość do wykorzystania. Nie mogąc zastosować bezpośrednich represji wobec KOR, starano się rozsądzać go od środka. Powstanie ROPCiO oznaczało poszerzenie opozycji i nadanie jej pluralistycznego charakteru. Siłą rzeczy bezpieka poszerzyła kombinację operacyjną, ale cel pozostał ten sam: rozbić od środka, skłócić, zaognić i podpalić istniejące podziały. Jeśli coś może zaskakiwać, to wyłącznie fakt, że to przede wszystkim KOR nastawiano przeciwko ROPCiO, a nie odwrotnie; czyniono to na tyle energicznie i z wykorzystaniem tak licznej agentury, że w pewnych środowiskach fałszywe wrażenie zostało dość mocno utrwalone.

Pierwotne zaostrenie podziałów w KOR wydaje się tym bardziej zrozumiałe, że już w dniu zawiązania skład Komitetu Obrony Robotników był bardzo niejednorodny. Obok osób, wywodzących się zarówno z PPS (Ludwik Cohn) jak PPR (Aniela Sztajnsberg), które można niewątpliwie zaliczyć do lewicy laickiej, znajdowała się tam grupa harcerska, bardzo radykalno-rewolucyjna, w swej genezie ideowej związana z Che Guevarą a nie Lwem Trockim (A. Macierewicz), ale też osoby o niewątpliwych przekonaniach narodowych i antykomunistycznych (W. Ziemiński); obok byłego działacza PZPR Jacka Kuronia był socjalista i dawny AKowiec - kawaler Virtuti Militari Jan Józef Lipski. Późniejsze wejście w skład KOR Stefana Kaczorowskiego, przed wojną sekretarza generalnego Stronnictwa Chrześcijańskiej Demokracji a po wojnie Stronnictwa Pracy - uznawanego przez socjalistów za antysemitę - uwiarygodniało niewątpliwie Komitet w środowiskach prawicowo-katolickich, ale bardziej jeszcze umacniało różnice wewnętrzne. Wykorzystała to bezpieka dla rozpoczęcia prowokacyjnej gry, mającej na celu rozbić KOR od wewnątrz. Skutki były widoczne gołym okiem. Gdy Komitet powstawał, czy też ulegał poszerzeniu, Kaczorowski a zwłaszcza Ziemiński uważani byli za osoby o nieposzlakowanej uczciwości, do których można mieć pełne zaufanie. Niewiele tygodni później, zimą 1977 r. nie tylko ich poglądy polityczne stały się przedmiotem krytyki, ale oni sami osobami podejrzanymi, z czasem nawet o to, że są narzędziami SB. Nie wszyscy członkowie KOR w to wierzyli, ale zwłaszcza osoby starsze czy bardziej afektowane chętnie dawały ucha takim nasilającym się pogłoskom. Z drugiej strony Ziemiński, który w czasie powstawania KOR wyrażał się o wszystkich jego członkach w superlatywach jako o najlepszych Polakach, po jakimś czasie w niektórych z nich odkrył eurokomunistów i syjonistów, prowadzących szkodliwą dla Polski grę. Jeszcze mocniej oceniał to Kaczorowski, a także niektóre osoby spośród współpracowników KOR.

Pamiętam rozmowę, którą w styczniu czy lutym 1977 r. miałem z Ziemińskim. W mroku wieczoru chodziliśmy wzdłuż alei Krasieńskiego, pod metalowymi sztachetami płotu otaczającego kościół św. Stanisława Kostki - a Wojtek wykladał mi całą szkodliwość działań lewicy laickiej. Nie mogłem jego słów traktować lekko. Ja tego środowiska nie znałem bliżej, a on związany był z nimi od dobrych dwudziestu lat, od czasów Klubu Krzywego Koła; po likwidacji KKK przez władze Ziemiński udzielał swego mieszkania przy Sadach Żoliborskich, gdzie kontynuowano spotkania dyskusyjne. Pamiętałem też doskonale, że gen. Abraham nie zgodził się, aby włączyć Wojtkę do działalności politycznej; *nie nadaje się* - powiedział - *wystarczy, że pomaga organizować rocznice kombatantki i uroczystości kościelne*. Wtedy zastanawiałem się, że być może powodem były jego związki z tamtym środowiskiem. W każdym razie Ziemiński nie był w nurcie niepodległościowym, ani nawet w NN. Paradoksalnie, lecz teraz dodawało to wagi jego ocenom. Skoro nawet on... Może dlatego moja argumentacja pomijała meritum; traktowałem rzecz instrumentalnie: mimo różnic poglądów łączy nas wspólny przeciwnik, a więc powinniśmy iść obok siebie, współdziałać - a nie zwalczać. Wtedy Wojtek powiedział: - *Mylisz się. Z nimi nie ma porozumienia*. A po krótkim namyśle: - *Wiem, że mówię to samo co SB, ale nieraz oni też mogą mieć rację*. Zdziwiłem się, że powołał się na bezpiekę, a nie na gazety, w których w owym czasie

pisano właśnie to samo, ale - niestety - nie zadałem mu gotowego pytania. Gdybyśmy już wtedy zaczęli głębiej drać sprawę, być może uniknęlibyśmy późniejszego nieszczęścia.

Aby nie powstało jakiegokolwiek niedopowiedzenie, już w tym miejscu muszę stwierdzić, że Wojciech Ziemiński to uczciwy człowiek i szczerzy patriota, ofiarny i zasłużony. Ani więcej, ani mniej. Tak uważałem wówczas - i tak uważam dziś, także po dokładnym zapoznaniu się z materiałami operacji, jaką SB prowadziła przeciwko ROPCiO. Tragedia Ziemińskiego polega na tym, że warunki czasu zmusiły go do realizowania swych przekonań nie na płaszczyźnie kulturowej i upamiętnienia historii, a w bezpośrednim działaniu politycznym.

I jeszcze inne wspomnienie z tego samego czasu. W moim samochodzie, zaparkowanym przy rondzie w środku ulicy Agrykola, rozmawiałem z ludźmi z nurtu niepodległościowego: "Andrzejem" - dr Józefem Rybickim i "Poldkiem" - Leopoldem Kumantem. Rybicki był szefem Kedywu Okręgu Warszawskiego AK, później Okręgu i Obszaru WiN, Kumant nieprzerwanie jego adiutantem. Pamiętam ten biały od śniegu dzień. Przed sobą i w lusterku widzę całą długość ulic Agrykola-Szwolężerów, a zerkając w bok - poprzeczną aleję, prowadzącą od wiaduktu Mostu Łazienkowskiego aż po Gagarina. W zasięgu widoczności nie ma nikogo, nawet śladów na świeżym śniegu, wyjąwszy te, które pozostawił mój samochód, gdy zjeżdżaliśmy od Placu na Rozdrożu. Jakąś mieszaniną głosów brzęczy radio - na wypadek, gdyby znowu udało się im założyć podsłuch. Mamy co najmniej pół godziny spokojnego czasu...

Rybicki był członkiem założycielem KOR, Kumant bardzo aktywnym współpracownikiem Komitetu. Teraz omawialiśmy powołanie Ruchu Obrony. "Andrzej" prowadził głęboko utajnione rozmowy z Kuroniem i Lipskim, aby uczynić to wspólnie, lecz szły jak po grudzie. Wspólnie z Poldkiem naciskaliśmy na Doktora, aby postawił sprawę na ostrzu noża: albo porozumienie, albo zrobimy to sami. Dla mnie znowu był to problem techniczny; czułem jak osacza nas bezpieka i uważałem, że od szybkości zależy powodzenie całego planu. Podobnie sądził Kumant, może najbardziej z nas narażony na bezpośredni nacisk SB, ale w jego argumentacji pojawiła się nowa, silna nuta: obawa przed nieszczerością kuroniady. To nowe słowo wzbudziło u mnie jakiś cień niepokoju, ale pominąłem wrażenie, wsparłem argumentację Kumanta: nie mamy już czasu na negocjacje, zwłaszcza jeśli oni są nieszczerzy i przeciągają całą sprawę.

Wreszcie rozmowa w szerszym gronie, chyba w mieszkaniu Emila Morgiewicza na ul. Agnieszki, gdzieś na Zaciszu czy dalekim Bródnie. Andrzej Czuma referuje, co mu powiedział Macierewicz: *jeśli dołączycie do nas, uzyskamy przewagę nad tym "towarzystwem gerontologicznym" z KOR.* Znowu jakieś nieuchwytnie skojarzenie, ale wniosek czysto instrumentalny: nie ma sensu łączyć się, jeśli w efekcie zostaniemy wciągnięci w jakieś rozgrywki wewnętrzne. Powiedziałem to zresztą nie ja, pierwszy był Adam Wojciechowski, zniesmaczony do KOR po jakiś niedobrych doświadczeniach. Ja - wtedy - ujął bym sprawę jeszcze bardziej pragmatycznie. Dziś, gdy oceniam z dystansu, po latach - widzę, jak wówczas pomijałem wszystko, koncentrując się tylko na jednym: doprowadzić do tego, aby nareszcie powstał Ruch Obrony; nie ważne jakich kompromisów będzie to wymagało, albo jakie konflikty wywoła. Szybciej! Koniecznie!

Z materiałów sprawy wynika, że pośpiech nie był aż tak bardzo konieczny. Chyba, że prawdą były informacje, że w KOR kończyli już przygotowania do powołania własnego Komitetu Praw Człowieka - tzw. "KOPEĆ" - w którym wiodącą rolę rzekomo pełnić mieli Aniela Sztajnsbergowa i Jan Olszewski - a nam udało się ich wyprzedzić ledwie o parę dni. Jednak poza wszelkimi wątpliwościami pozostaje, że już wówczas, w marcu 1977 r. niektórzy najbardziej wpływowi członkowie KOR starszej generacji byli przekonani, że Ziemiński i Kaczorowski, może także Morgiewicz a nawet Rybicki stanowią bezpośrednie zagrożenie dla Komitetu, bo dążą do jego rozbicia i kompromitacji. Po utworzeniu ROPCiO posądzenie to poszerzono o dalsze dwa nazwiska: Moczulski i Czuma. Przez krótki czas pewne zamieszanie dotyczyło osoby doktora

Rybickiego: "Andrzej" był głównym negocjatorem ze strony środowiska niepodległościowego i nie wiadomo, czy wszedł do ROPCiO, czy też nie. Jak informował jakiś agent, nazajutrz po ogłoszeniu powstania ROPCiO Jan Józef Lipski oceniał utworzenie Ruchu Obrony jako inicjatywę Rybickiego. Jednak Doktor wybrał pozostanie w KOR. Celowość tego uzasadnił szczegółowo, gdy rozmawiałem z nim w jego milanowskim mieszkaniu 26 marca - niedługo przed konferencją prasową; dlatego - choć był jednym z głównych twórców ROPCIO - brak jego nazwiska na ogłoszonej liście sygnatariuszy. Podobnie, jak nie ma tam nazwiska Morgiewicza⁵.

Po 26 marca dotychczasowa kombinacja operacyjna SB ulega tylko poszerzeniu. Insynuacjami, nadawanymi wcześniej na niektórych członków KOR, teraz objęto również grupę osób, które - zdaniem bezpieki - stoją na czele ROPCiO. Początkowo zaliczano do nich cztery osoby: do Ziemińskiego i Kaczorowskiego dochodzi Moczulski i Czuma. Tajni współpracownicy otrzymują szczegółowe instrukcje: mają dotrzeć do wskazanych osób spośród członków i sympatyków KOR, aby ostrzec ich, że cała wskazana czwórka jest mocno podejrzana, gdyż najwyraźniej działa na zlecenie władz PRL, aby skompromitować opozycję i rozbić KOR. Te insynuacje powinny spowodować usztywnienie stanowiska wobec osób pomawianych, co z kolei wywoła dalszą reakcję. Cała ta taktyka przedstawiana jest w tajnych informacjach dla odpowiednich agend SB, sporządzanych w departamencie III MSW. Zawierają one również dane agenturalne, jak rozchodzi się prowokacyjna insynuacja oraz kto i kiedy powtarza treści przygotowane przez bezpiekę. Jest to ważne, bowiem w następnych informacjach osoba powtarzająca ubecki paszkwil, a nawet tylko go wysłuchująca - występuje w teczkach już jako źródło fałszywego zarzutu. W ten sposób, nawet wśród własnych ludzi, bezpieka stwarzała wrażenie, że to sami działacze opozycyjni doszli do wniosku, że inni działacze są osobami podejrzаныmi. Treść, podana agentowi do przekazania Iksińskiemu, staje się w ten sposób wersją Iksińskiego, jeśli ją tylko powtórzył (lub TW doniósł, że powtórzył - co wcale nie musiało być prawdą). Klimat podejrzliwości, jakim przesycone są te czki, jest tak silny, że czytając je, bezwiednie zaczynam rejestrować, które konkretne osoby powtarzają bezpieczniackie fałsze. Nie dajmy się jednak zwariować. Ludzie powtarzali takie pogłoski z różnych powodów: bo zwracali uwagę, że kursują one w środowisku, bo odczuwali jakiś niepokój, bo kogoś nie lubili - itd. Doszukiwanie się agenta w człowieku, który tylko powtarza plotkę, nieświadom jej ubowskiej proveniencji - jest wierutną bzdurą.

Już pierwsze partie materiałów SB ukazują, jak tworzona była atmosfera podejrzliwości wobec ROPCiO. Niektóre fałsze były wręcz absurdalne - jak na przykład, że artykuł Józefa Bareckiego uznający powstanie Ruchu Obrony za antypolską prowokację, zamieszczony w "Trybunie Ludu", gotów był do druku jeszcze przed powstaniem ROPCiO. Względnie szybko, bo już w czerwcu 1977 r. ta kampania oszczerstw doprowadza do pierwszego spektakularnego skutku.

Oto okoliczności, w jakich do tego doszło. W maju 1977 r. zamordowany został Staszek Pyjas, a wkrótce potem, w trakcie manifestacji zorganizowanych w Krakowie, aresztowano kilkunastu członków i sympatyków KOR. ROPCiO natychmiast zaprotestowało, domagając się wypuszczenia uwięzionych, a przez następne miesiące prowadziliśmy energiczną kampanię w ich obronie (aresztowanych zwolniono w lipcu). W toku tej kampanii, 7 czerwca na prowadzonej przeze mnie konferencji prasowej Wojciech Ziemiński przekazał dziennikarzom świadectwa lekarskie, dotyczące krytycznego stanu zdrowia aresztowanego Jana Józefa Lipskiego⁶. Parę godzin później ogłoszono to w radiu Wolna Europa. Tym większa była konsternacja, gdy następnego dnia członkini KOR - Halina Mikołajska na zwołanej ad hoc konferencji prasowej uznała ROPCiO za grupę nie godną zaufania i zaprotestowała przeciwko występowaniu Ruchu Obrony, a w szczególności Ziemińskiego - w obronie uwięzionych członków KOR. Powtórzyła to również Wolna Europa.

5 Emil Morgiewicz czynnie uczestniczył we wszystkich pracach, również w przygotowaniu konferencji prasowej 25 marca w mieszkaniu Antoniego Pajdaka. Wszedł z tego mieszkania na jakiś kwadrans przed rozpoczęciem konferencji prasowej.

6 Ziemiński był od lat, jeszcze z czasów Klubu Krzywego Koła osobistym przyjacielem Lipskiego, a świadectwa lekarskie dostał od jego rodziny.

Był to niewątpliwy cios. Zagrożenie wzajemnym konfliktem dwu różnych struktur opozycyjnych od początku rysowało się jasno; przynajmniej niektórzy ludzie dostrzegali niebezpieczeństwo i próbowali mu przeciwdziałać. Wiosną wydzwonił mnie Tadeusz Mazowiecki i spotkaliśmy się w jakiejś kawiarni na Tamce. Mazowiecki nie ukrywał obaw, że dojdzie do wzajemnej walki, najwyraźniej nie miał zaufania do niektórych osób z ROPCiO, choć wstrzymał się od ujawniania nazwisk. Podzielałem jego obawy - i zapewniałem, że przynajmniej ja uczynię wszystko, aby ewentualne spory nie wyszły poza polemiki programowe. Myślę, że dotrzymałem tego zobowiązania. Pod bezpośrednim wpływem tej rozmowy, pod zapożyczonym od Mazowieckiego zwrotem *Primum non nocere* - po pierwsze nie szkodzić, w najbliższym numerze "Opinii" zamieściłem artykuł wstępny o potrzebie wzajemnej powściągliwości. Przyjęty został dobrze. Nawet Wolna Europa ogłosiła felieton o konieczności uznania pluralizmu w opozycji - niestety jedyny i samotny. Potem - niespodziewanie - uderzenie, które biło nie tylko w ROPCiO, ale w całą opozycję.

Teraz czytam protokół z odprawy, jaką w tymże czerwcu 1977 r. prowadził płk. Adam B., naczelnik wydziału II departamentu III MSW. Jego zastępca płk. Kazimierz Sł. przedstawił plany i przebieg dotychczasowych działań, podejmowanych przeciwko Ruchowi Obrony. Ważną rolę spełniali tajni współpracownicy, którzy docierali do imiennie wskazanych członków i sympatyków KOR. Pierwszym zadaniem, jakie im wyznaczono, było przekonywanie, że działaczom ROPCiO wcale nie leży na sercu los aresztowanych KORowców, a kampania w ich obronie ma na celu jedynie ukrycie powiązań przywódców Ruchu Obrony z partyjno - bezpieczeństwowymi inspiratorami. Jest uwłaczające - mają podkreślać agenci - aby tacy ludzie zbijali kapitał polityczny na bezprawnie uwięzionych; przeciwko temu trzeba stanowczo zaprotestować.

Ten plan zadziałał. W dramatycznej, przytłaczającej nerwowo atmosferze represji oraz groźby dalszych aresztowań, grożących całkowitym rozbięciem KOR - jedna z kilkorga pozostających na wolności członków Komitetu zdobyła się na taki, silny emocjonalnie protest przeciwko drugiej części opozycji, która broniła jej przyjaciół. Wówczas nas to bardzo wzburzyło, ale przestrzegał bym przed łatwymi ocenami. Proszę sobie wyobrazić: szczególnie wrażliwa osoba, od wielu miesięcy stanowiąca obiekt zmasowanych działań, publicznych zarzutów, starannie preparowanych anonimów, nękana ustawicznymi telefonami, nieprzerwanie obrzucana błotem, groźbami, fałszywymi ostrzeżeniami, w warunkach gdy najbliższych przyjaciół już uwięziono, a ten los czeka i pozostałych, gdy można bać się, że nadchodzi ta ostatnia, straszliwa prowokacja...

Jeśli SB spodziewała się, że w odpowiedzi na publiczne zarzuty odpowiemy tym samym - zawiodła się. Nie zaatakowaliśmy KOR, nie podjęliśmy polemiki, nadal publicznie broniliśmy uwięzionych.

Wśród kolejnych zadań, wyznaczonych agencji bezpieczeństwa, zachowane w teczkach plany przewidywały kompromitowanie ROPCiO wśród emigracji, zwłaszcza po to, aby zablokować popularyzowanie naszej działalności przez Wolną Europę. Rzeczywiście, poczynając od czerwca 1977 r. stanowisko tej radiostacji wobec Ruchu Obrony (i pochodnych od niej grup opozycyjnych) było niechętnie, co najmniej nieufne, a często otwarcie wrogie. Ale to już inny rozdział dziejów obalania PRL.

Nie wystarczył jednak sam gołosłowny zarzut o rzekomym prowokatorskim charakterze grupy kierowniczej ROPCiO (ostatecznie SB uważała, że należy do niej pięć osób: Leszek Moczulski, Andrzej Czuma, Wojciech Ziemiński, Adam Wojciechowski, Kazimierz Janusz). Wzmocniały go insynuacje kierowane wyłącznie do niektórych adresatów. Agencja, mająca dostęp do Ludwika Cohna miała mu - *i całej żydowskiej części KOR* (jak zapisano w protokole narady w III departamencie MSW) - przedstawiać nacjonalistyczny charakter ROPCiO, *który mówiąc prościej jest antysemitki*.

Dla uczestników dawnego zbrojnego podziemia Józefa Rybickiego i Leopolda Kumanta przygotowano inną treść: wyznaczeni tajni współpracownicy SB mieli ich straszyć niebezpieczeństwem jakie powodowało utrzymywanie kontaktów z ROPCiO. Za Ruchem Obrony stoi bowiem tajna struktura podziemna, najpewniej o charakterze terrorystycznym. Ponieważ pogłoski o jej istnieniu powtarzane są coraz częściej, musi o tym wiedzieć również SB. Skoro wie, a nie interweniuje - tajna organizacja została założona zapewne z jej inspiracji. Bezpieka utworzyła ją w tym samym celu, w jakim organizowała podobne w latach czterdziestych i pięćdziesiątych: aby ujawnić wrogów i uzyskać pretekst do aresztowania wszystkich naiwnych.

Nawiasem mówiąc, ten fragment działań MSW dowodził, że mechanizmy samoobrony w zorganizowanych środowiskach niepodległościowych były o wiele bardziej skuteczne, niż we wszystkich innych. Wieloletnia konspiracja tworzyła nawyki i bariery, niełatwe do przełamania przez SB. Rybicki i Kumant byli aktywnymi działaczami nurtu niepodległościowego; uczestniczyli od samego początku w precyzowaniu pomysłu i tworzeniu Nurtu Niepodległościowego oraz ROPCiO. Doktor Rybicki, obok kilku innych prominentnych członków AK i WIN (członkowie KG AK - płk Pluta-Czachowski i płk Szostak, trzeci szef WiN - płk Wincenty Kwieciński) wnosił uwagi do projektu deklaracji ideowej NN; na faktycznym pierwszym zjeździe (w końcu lutego 1977 r. w klasztorze Jezuitów) powołany został do zespołu, który nadzorować miał politycznie poczynania NN. Na przestrzeni lat wspólnie i wielokrotnie omawialiśmy niebezpieczeństwa wynikające m. in. z pomówienia o prowokację. Teraz, gdy SB podjęła takie działania, a fałszywe zarzuty zaczęto kolportować - Rybicki zawiadomił mnie o tym natychmiast przez Poldka Kumanta, a wkrótce potem na spotkaniu z Doktorem, w pewnej plebanii podwarszawskiej, szczegółowo omówiliśmy plany przeciwdziałania. Okazało się ono skuteczne, przynajmniej jeśli chodzi o niepodległościowe środowiska kombatanckie. Ten fragment kombinacji operacyjnej SB spalił na panewce. Zarówno w ROPCiO jak poza Ruchem Obrony prawie nikt nie czynił nam zarzutów z powodu istnienia podziemnej struktury, a wielu uważało jej istnienie ca celowe i konieczne.

Nie dał większych skutków jeszcze inny element planu rozbicia ROPCiO, opracowanego wiosną 1977 r. w III departamencie MSW. Przewidywał on, że agenci SB, docierający do osób znajdujących się w naszych środowiskach, względnie na ich obrzeżu przedstawiać powinni następującą argumentację: Oświadczenia i inne dokumenty ROPCiO są bardzo ostrożne, ograniczają się do obrony praw człowieka, a wstrzymują od otwartego potępienia komunizmu i ZSRR. Równocześnie osoby kierujące Ruchem Obrony w rozmowach z innymi uczestnikami ROPCiO podkreślają swoje antykomunistyczne i antyradzieckie przekonania. Chodzi o to, że pod pozorami umiarkowania, osoby te pragną uchronić się przed aresztowaniami, równocześnie narażając na represje i uwięzienie szeregowych członków ruchu. Twierdzenia takie nie okazywały się jednak przekonywujące: ludzie rozumieli, że ostrość polityczną należy stopniować, początkowo zachowując ton umiarkowany, a następnie wysuwając coraz bardziej radykalne postulaty. Taka była taktyka ROPCiO. Gdy w marcu 1977 r. ograniczaliśmy się do ogólnego żądania przestrzegania praw człowieka, to w maju ogłosiliśmy obszerną deklarację, domagającą się przywrócenia wolności słowa, a we wrześniu potępiiliśmy dyktat jałtański i uzależnienie Polski od ZSRR. Eskalacja wyraźna i szybka.

Niektóre przedsięwzięcia SB były nie tylko naiwne, ale nie doceniały również stopnia determinacji opozycji. Departament III już wiosną zaplanował rzekome przecieki. Bezpiekę bardzo niepokoiło, że od kwietnia 1977 r. Leszek Moczulski wydawał pismo "Opinia". Nie była to gazeta podziemna, ale pierwszy w Polsce (i całym obozie sowieckim) jawny periodyk ukazujący się poza cenzurą. W "Opinii" podawaliśmy skład redakcji (poza Moczulskim - Wojciech Ziemiński, który odpowiadał za sprawy techniczne oraz Kazimierz Janusz) i jej adres (mieszkanie K. Janusza przy ul. Czerniakowskiej 34 m. 120, tel. 400-180), zaś większość artykułów była podpisana nazwiskami autorów, a nie pseudonimami. Otóż w departamencie III zaplanowano, że jakiś znany i wybitny

dziennikarz poufnie powiadomi Moczulskiego, iż najwyższe władze PZPR postanowiły, że natychmiast po ukazaniu się kolejnego numeru "Opinii" zostanie on aresztowany, a ROPCiO rozbite. Jedyнным sposobem uniknięcia tego miało być zamrożenie działalności Ruchu Obrony (i wstrzymanie wydawania "OPINII") na co najmniej trzy miesiące.

Rzeczywiście, pamiętam, że chyba w czerwcu 1977 r. potajemnie, pod osłoną wieczoru, zgłosił się do mnie pewien dziennikarz, może i znany - ale nie taki znów wybitny. Był wyraźnie przestraszony. Opowiadał jakieś komplementy o Ruchu Obrony, ale szybko zaczął przestrzegać: *szkoda, żeby taka wspaniała inicjatywa została zmarnowana*. Gdy wspomniał o groźbie aresztowań, roześmiałem się. - To wspaniale - powiedziałem. - Coś takiego jest nam bardzo potrzebne. Za trzy miesiące rozpocznie się przeglądowa konferencja KBWE w Belgradzie, poświęcona omówieniu przestrzegania praw człowieka. Jeśli z tej okazji władze PRL zamkną obrońców praw człowieka, nie będziemy już musieli się wysilać, aby udowodnić, że są one cynicznie łamane. Mój rozmówca wystraszył się jeszcze bardziej i uciekł. Gdy całe lata później zobaczyłem go po raz następny, był już po naszej stronie politycznej barykady.

W czerwcu 1977 r. zrealizowany został pierwszy punkt kombinacji operacyjnej bezpieczeństwa: stosunki pomiędzy KOR a ROPCiO stały się nieprzyjazne, a wiarygodność Ruchu Obrony w niektórych środowiskach emigracyjnych, zwłaszcza grupujących się wokół radia Wolna Europa i "Kultury" mocno podważona. Jednak po lipcu, gdy wypuszczono z więzień faktycznych przywódców KOR z Jackiem Kuroniem na czele, rozsądek zaczął przeważać nad emocjami. Pozwoliło to jakoś ułożyć wzajemne stosunki, ale współpracę nawiązywaliśmy tylko sporadycznie - i szło to bardzo opornie. W każdym razie obie strony wstrzymały się od publicznych ataków, ograniczając do polemik programowych. Rozpoczął je Jacek Kuroń w ogłoszonym pod koniec 1977 r. tekście o strukturze ruchu opozycyjnego; postulował tworzenie luźnego ruchu społecznego, przeciwstawiając to "koncepcji Moczulskiego" powołania "sformalizowanej i hierarchicznej organizacji". Argumentacja była merytoryczna, a cała publikacja spełniała wszystkie wymogi kultury polemicznej; starałem się - myślę, że z powodzeniem, aby moje teksty również odpowiadały tym kryteriom.

Taką powściągliwość można było utrzymać w Kraju. Niestety, na emigracji szybko zaczęły pojawiać się teksty anonimowe albo nie znanych nam autorów, którzy identyfikując się z ROPCiO, często prymitywnie i bardzo brutalnie atakowali lewicę laicką oraz KOR. Z drugiej strony podobne publikacje, powołujące się na KOR - równie niewybrednie atakowały ROPCiO. W obu przypadkach mieliśmy do czynienia zarówno z wystąpieniami autentycznymi, jak - częściej - zwykłymi fałszywkami bezpieczeństwa. Czyniono to głównie na użytek Kraju, a nadchodzące z emigracji wydawnictwa tego rodzaju potrafiły do białej gorączki pobudzać atakowane środowiska.

W takich warunkach poziom wzajemnej nieufności pozostawał wysoki, a niemalże cyklicznie pojawiały się fale najgorszych podejrzeń. Wspominał to po latach jeden z bardzo aktywnych współpracowników KOR, dziś redaktor "Gazety Polskiej" Piotr Wierzbicki:

...chwycono się dwu sposobów. Pierwszy dotyczył specjalnie osoby Leszka Moczulskiego i polegał na wywleczeniu na wierzch faktów z jego przeszłości. Chodziło o to, że w latach sześćdziesiątych czy też siedemdziesiątych (krążyły różne wersje) Moczulski jako publicysta tygodnika "Stolica" miał pisywać teksty prorządowe. Fakty te zostały bądź całkowicie zmyślane (sam, z pustej ciekawości, spędziłem pół dnia w bibliotece nad rocznikiem "Stolicy" z roku 1976, by się przekonać, że wersja, według której Moczulski szkalował robotników Ursusa i Radomia, jest kłamstwem), bądź przekonująco wyjaśnione przez samego Moczulskiego: pewien przypisywany mu tekst został przerobiony przez redakcję w stopniu, który zmusił autora do wycofania swego nazwiska⁷. Drugi sposób, stosowany wobec Ruchu Obrony jako całości, polegał na fabrykowaniu

⁷ Chodzi o krótką, nie podpisaną notatkę, zamieszczoną w nr 11 (1058) "Stolicy" z 17 marca 1968 r. Informowała ona, że 8 marca doszło do zajść w Warszawie, których przebieg redakcja przedstawiła posługując się wyłącznie

pogłosek, że założyły go osoby, będące świadomie lub nieświadomie na usługach władz bezpieczeństwa. Tej niezwykle intensywnej kampanii oszczerstw, kolportowanych pocztą pantoflową, nikt nigdy publicznie nie odwołał⁸.

W pierwszej połowie 1977 r. dominował ten drugi sposób, a główne ataki personalne kierowano przeciwko Wojciechowi Ziemińskiemu. Był on nadal, przynajmniej formalnie członkiem KOR, lecz nie dopuszczano go do wewnętrznych dyskusji; niektórzy traktowali go wprost jako wrogą wtyczkę. Słowo wroga odnoszono bardziej do ROPCiO niż SB. We wrześniu sprawy zaostrzyły się bardzo: Ziemiński i Kaczorowski wysunęli jakieś zarzuty finansowe, domagali się powołania niezależnej komisji itd. Skończyło się na tym, że gdy Komitet Obrony Robotników przekształcił się w Komitet Samoobrony Społecznej "KOR", nie znalazła się w nim ta dwójka, a także parę innych osób.

Sprawy trzeba jednak dostrzec w ich rzeczywistym wymiarze. Kombinacja operacyjna SB, zmierzająca początkowo do rozbicia KOR, a po powstaniu ROPCiO całej opozycji demokratycznej była możliwa tylko dlatego, że niezależnie od niej istniały głębokie podziały ideowe i środowiskowe. Jak pisałem, wzajemne różnice odbieraliśmy bardzo wyraźnie - tak wyraźnie, że nie doceniliśmy realnie rozwijanej operacji безпеki. Widzieliśmy w sobie nawzajem nacjonalistów i eurokomunistów, a te oceny były aż tak bardzo fundamentalistyczne, że naiwne często prowokacje SB przynosiły skutki jak najbardziej poważnie.

Po uzyskaniu spektakularnego sukcesu czerwcowego bezpieczeństwa postanowiła iść za ciosem. Tym razem postanowiono pogłębić wersję Głogowskiego - wedle słownictwa teczek SB - czyli podziałów wewnętrznych w ROPCiO. Wedle niedoskonałego rozeznania Służby Bezpieczeństwa głównymi filarami Ruchu Obrony miały być - jak wynika z akt - ośrodki warszawski i łódzki (w rzeczywistości w tym czasie równie ważnymi były gdański, lubelski i krakowski). Za najbliższe zadanie uznano skłócenie i rozerwanie obu. W tym celu w MSW postanowiono wykorzystać fakt, że Ruch Obrony w Łodzi powstał w oparciu o parę środowisk, odwołujących się do odmiennych doświadczeń walki z komuną. Najpoważniejsze było środowisko obejmujące dawnych działaczy Związku Młodych Demokratów - legalnej organizacji założonej na fali odwilży październikowej 1956 r., lecz po kilku miesiącach rozbitej przez SB; niekwestionowany przywódca ZMD, adwokat Karol Głogowski został po pewnym czasie pozbawiony prawa wykonywania zawodu, aresztowany i skazany. Odrębną pozycję zajmował Stefan Kaczorowski, człowiek o niewątpliwie najdłuższym stażu politycznym, sięgającym początków Drugiej Rzeczypospolitej, sztandarowy chadek o poważnym autorytecie i bezpośrednich związkach z Kościołem. Od tych ludzi o znacznym dorobku i doświadczeniach politycznych wyraźnie odróżniała się grupa "Wspólnota", wywodząca się z organizacji podziemnej, powstałej w końcu lat sześćdziesiątych, do której przyłgnęła nazwa "Ruch". Powstała ona jako typowa organizacja młodzieżowa, równie szlachetna jak niedojrzała politycznie. Podobnych powstawało wiele, "Ruch" wyróżniła próba spalenia czy wysadzenia w powietrze muzeum Lenina w Poroninie. Dzisiaj takie naiwne i groźne dla inicjatorów plany (nie bardzo wiadomo, kto był pomysłodawcą) wydają się niezrozumiałe. Wówczas trzeba było ogromnej samodyscypliny, aby nie dać się ponieść obrzydzeniu moralnemu wobec cynicznej propagandy, domagającej się m. in. masowej podziękii dla Lenina za to, że... dał niepodległość Polsce! Gdy w czerwcu 1970 r. "Ruch" podjął bezpośrednią próbę wprowadzenia swego zamiaru w czyn - nastąpiły aresztowania. Mam nadzieję, że znajdą się w MSW materiały, które pozwolą ustalić, czy była to prowokacja bezpieczeństwa, a przynajmniej kto wydał tę grupę.

Ludzie z tego pierwszego "Ruchu" naturalną rzeczą kolejną znaleźli się w Nurcie

cytatem z "Trybuny Ludu" i wstrzymując od własnego sprawozdania i ocen. Na tle ówczesnych publikacji prasowych - wymaganych przez cenzurę jako warunek "zwolnienia" numeru do druku - notatka w "Stolicy" wyróżniała się powściągliwością. Ukazała się w wersji sporządzonej osobiście przez naczelnego redaktora; kilka wcześniejszych wersji - pierwszą napisałem ja - zostało odrzucone, jako zbyt niecenzuralne.

8 Piotr Wierzbicki, Myśli staroświeckiego Polaka, Warszawa 1987 r., s. 54.

Niepodległościowym, a później w Ruchu Obrony. Wprawdzie nie wszyscy. Współprzywódcą NN i ROPCiO był Andrzej Czuma, ale druga wielka postać dawnego "Ruchu" - Stefan Niesiołowski z jakiś względów nie chciał podjąć działalności w jawnej opozycji (uczynił to dopiero w 1980 r., gdy na Uniwersytecie Łódzkim formowała się "Solidarność"). Gdy nie powiodły się namowy Andrzeja, ostatecznie w ROPCiO znalazł się tylko brat Stefana - Marek. W efekcie w grupie łódzkiej na plan pierwszy wysunął się Benedykt Czuma - młodszy brat Andrzeja.

Zróznicowany charakter środowisk tworzących Ruch Obrony w Łodzi był nie do ukrycia. Znała go również SB, od lat obserwująca grupy nieprawomyślnych. W czerwcu 1977 r. postanowiono to wykorzystać do głęboko przemyślanej kombinacji operacyjnej. Jak wynika z protokołu odprawy, przeprowadzonej przez departament III MSW, z tą głębokością to gruba przesada, ale plan prowokacji był wystarczająco racjonalny. Operację zakrojono na dwa etapy: w pierwszym przewidywano doprowadzenie do podziału łódzkiego ROPCiO na dwie zwalczające się grupy, w drugim do rozbicia całego Ruchu Obrony na dwie izolowane struktury, które kolejno ulegną samolikwidacji.

Metodę przeprowadzenia całej kombinacji, przygotowanej przez płk. J. Cab, (z wydz. II dpt. III MSW) opisano w protokole narady bardzo precyzyjnie. Agenci SB otrzymali za zadanie dotarcie do Karola Głogowskiego (stąd określenie: wersja Głogowskiego) i Stefana Kaczorowskiego, aby wmówić i przekonać ich, że bracia Czumowie dążą do likwidacji politycznej i usunięcia z Ruchu Obrony obu tych działaczy. Instrukcje dla TW były bardzo obszerne. Przewidywały one m. in. kolportowanie rzekomo pochodzącej od Czumy wersji, że Głogowski i Kaczorowski są osobami politycznie niewyrobionymi (sic!). Dlatego kierownictwo ROPCiO w Łodzi powinien przejąć doświadczony polityk - czyli Benedykt Czuma. W istocie już to nastąpiło; agenci mieli sugerować, że Andrzej Czuma codziennie rano telefonuje do Benedykta z informacjami i instrukcjami, a działalność całej grupy prowadzona jest przez tego ostatniego bez jakiegokolwiek konsultacji z pozostałymi osobami. Było to tym bardziej wiarygodne, że w mieszkaniu Benedykta Czumy mieściło się jawne biuro organizacyjne ROPCiO (wedle naszej ówczesnej terminologii: Punkt Konsultacyjno-Informacyjny PKI). Głogowski i Kaczorowski mieli być ponadto trzymani na uboczu od prac programowych prowadzonych w Warszawie i całkowicie odsunięci od współdecydowania o polityce Ruchu Obrony. Wreszcie, rzecz jasna, towarzyszyły temu insynuacje o rzekomej inspiracji SB, zwłaszcza przenikającej do podziemnej struktury umieszczonej pod ROPCiO.

Inna grupa agentów wmawiała podobne wersje ludziom z dawnego "Ruchu", tyle że wymierzone przeciwko Kaczorowskiemu, a zwłaszcza Głogowskiemu. Działo się to zarówno w Łodzi jak w Warszawie, bo do bezpośredniego otoczenia Andrzeja Czumy wcześniej jeszcze przedostał się agent departamentu III MSW o pseudonimie "Janusz Lewandowski".

Ostatecznie prowokacja bezpieki nie powiodła się, jakkolwiek przysporzyła nam wielu kłopotów i zajęła sporo czasu. Karol Głogowski był zbyt doświadczonym człowiekiem, aby zlekceważyć pogłoski, które jak na rozkaz pojawiły się masowo w łódzkim środowisku opozycyjnym. Jeśli wyjaśnienie insynuacji było trudne w warunkach zwalczających się orientacji politycznych, to w ramach jednej organizacji wydawało się możliwe. Głogowski natychmiast przyjechał do Warszawy i przedstawił mi całą sprawę. Przypuszczał, że chodzi o prowokację SB, ale nie mógł wykluczyć, że źródłem są emocje i ambicje niektórych osób. Choć nie zamieniliśmy na ten temat ani jednego słowa, Głogowski domyślał się, że istnieje drugie dno, zapewniające funkcjonowanie ROPCiO. Wprost zapytał, czy zapadła jakaś decyzja, że Benedykt ma objąć jednoosobowe kierownictwo w Łodzi na miejsce istniejącego kolektywnego; gotów był się temu podporządkować, ale żądał jasnego postawienia sprawy. Otóż decyzji takiej nie było: nawet pomysł takiej zmiany nie został przedstawiony ROMBowi - kolektywnemu kierownictwu NN, ani nie był omawiany przez rzeczników ROPCiO - Moczulskiego i Czumę.

Zaalarmowany przez Głogowskiego, zacząłem nie tyle nawet wyjaśniać sprawę, ile likwidować prowokację. Zajęło to parę miesięcy i powiodło się głównie dzięki Andrzejowi Czumie. Gdy udało mi się przełamać jego początkowe opory, czynnie przyczynił się do rozładowania sytuacji. Wprawdzie jakieś zadry pozostały, ale w końcu września, gdy zwołaliśmy zjazd Ruchu Obrony (posługiwaliśmy się nazwą Ogólnokrajowe Spotkanie uczestników ROPCiO, choć w istocie zbierali się tylko delegaci poszczególnych ośrodków i środowisk), współpraca ułożyła się zgodnie, a Karol Głogowski i związany z nim Andrzej Mazur odegrali czołową rolę w przygotowaniu uchwalonych wówczas dokumentów. Bardzo czynni byli również Wojciech Ziemiński, Adam Wojciechowski, Bugusław Studziński i Kazimierz Janusz, gdy Andrzej Czuma wyraźnie stracił na aktywności. Zwróciłem na to uwagę, ale - niestety - nie próbowałem wyjaśnić powodu; ciągle brakowało mi czasu.

Wkraczaliśmy w apogeum rozwoju Ruchu Obrony. Było to efekt naprawdę morderczej pracy. Działaliśmy w bardzo małej grupie. W Warszawie było nas w rzeczywistości tylko kilku. Niektórzy skupiali się tylko na wąskich choć bardzo pracowitych odcinkach: Andrzej Czuma, który w przeciwieństwie do większości z nas był normalnie zatrudniony i w zasadzie musiał przebywać w biurze 8 godzin dziennie - miał do dyspozycji tylko popołudnia i wieczory. Większość aktywności poświęcał NN, sporadycznie tylko zajmując się sprawami ROPCiO. Bogumił Studziński prowadził sprawy interwencyjne, masowo dopływające do ROPCiO, wykonując pracę, która i dla licznego zespołu byłaby nie do przerobienia. Kazimierz Janusz kierował warszawskim biurem Ruchu Obrony (codziennie zgłaszali się liczni interesanci!) a poza tym zapewniał powielenie większej części warszawskiego nakładu "Opinii". Wojtek Ziemiński organizował druk reszty nakładu, pisał do "Opinii" stały felieton historyczny, a ponadto ciągle był zajęty jakimiś sprawami korowskimi, nawet po powstaniu KSS "KOR". Adam Wojciechowski aż tryskał najprzeróżniejszymi inicjatywami i potrafił doprowadzić do realizacji prawie wszystkich. To jego zasługą były pierwsze wielkie akcje publiczne, zwłaszcza znakomity wniosek obywatelski o publikację w "Dzienniku ustaw" Międzynarodowych Paktów Praw Człowieka, ratyfikowanych przez Radę Państwa PRL. Ratyfikacja była jednak ciągle bezprzedmiotowa, gdyż konwencja ta uzyskiwała moc obowiązującego prawa dopiero w momencie publikacji. Adam sprawnie zorganizował zbiórkę podpisów pod wnioskiem, ale samo poparcie przez ludzi związanych z opozycją nie wystarczało. Wojciechowski wysunął - i przeforsował na posiedzeniu ROMBu plan publicznej zbiórki podpisów. Trzeba było forsować, bo od 1968 r. nie doszło w Warszawie do żadnej demonstracji politycznej, a ich wznowienie połączone było ze znacznym ryzykiem. Adam czynem dowiódł, że było to możliwe, wczesną jesienią wspólnie z paroma swymi osobistymi przyjaciółmi stawiając stoliki raz na dziedzińcu Uniwersytetu, raz w Łazienkach i nawołując spacerowiczów do składania podpisów pod wnioskiem. Później, bo w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia doszło do równoczesnej manifestacji w pięciu warszawskich teatrach, tuż przed rozpoczęciem drugiego aktu. Szczegóły umknęły mi z pamięci, ale jak wynika z raportów SB, zgromadzonych w teczkach, moja żona Majka i ja, wsparci przez Maćka Grzywaczewskiego i jeszcze kogoś przeprowadziliśmy taką manifestację w Teatrze Klasycznym (Studio). Wcześniej jeszcze, w początkach grudnia Adam zorganizował pierwsze wiece publiczne. Doszło do nich przed Domami "Centrum" na ul. Marszałkowskiej. Stały tam jakieś nie użytkowane zimą wysokie podesty. Andrzej Czuma bliżej Świętokrzyskiej, a ja bliżej Alej Jerozolimskich wskoczyliśmy na te improwizowane trybuny i każdy zaczął przemawiać, wyjaśniając czym są Pakty Praw Człowieka i dlaczego władze nie chcą ich opublikować; w tym samym czasie wspomagające nas zespoły kolportowały ulotki i zbierały podpisy pod wnioskiem. Błyskawicznie zgromadził się parusetosobowy tłum, a po jakiś pięciu minutach również milicjanci. Doprowadzono nas oddzielnie na komisariat przy ul. Widok. Pamiętam, jak do pokoiku, gdzie starszy wiekiem kapitan MO spisywał moje personalia wpadł jakiś kabotyn, przedstawiający się jako komendant komisariatu i krzycząc nakazał, abym 30 razy pod rząd opowiedział swój życiorys. Zażenowany kapitan spojrzał na mnie i lekko wzruszył ramionami, a następne parę godzin spędziliśmy na rozmowie o trudnych problemach zwalczania przestępczości

w centrum Warszawy w warunkach chronicznego braku środków; obaj zapewne nie mieliśmy wrażenia, że jesteśmy ludźmi z przeciwnych stron barykady, bo łączyło nas wspólne zrozumienie konieczności przeciwdziałania złu.

Kończąc ten przegląd zadań czołowych działaczy Ruchu Obrony, parę zdań muszę poświęcić moim obowiązkom. Sprawowałem ogólne kierownictwo polityczne, co oznaczało również konieczność jednoosobowego podejmowania decyzji w najrozmaitszych sprawach. Publiczne oświadczenia w imieniu Ruchu Obrony wydawali wspólnie obaj jego rzecznicy, lecz w uzgodnionej między nami praktyce często zdarzało się, że trudności w skontaktowaniu się z Andrzejem Czumą powodowały, iż pisałem i ogłaszałem je sam, choć w podpisie były dwa nazwiska. Wynikało to przede wszystkim z realnych warunków czasu, ale i - nie chcę ukrywać - odpowiadało moim autorytarnym skłonnościom. Było to tym bardziej wygodne, że pozwalało na konsekwentne stosowanie przemyślanej szczegółowo znacznie wcześniej koncepcji tzw. "pełzającej rewolucji". Jej założenia uzasadniałem na licznych spotkaniach poczynając od 1973 r., a podstawowe punkty przedstawiłem później w broszurze "Rewolucja bez rewolucji". Obok działalności bezpośrednio politycznej przygotowywałem poszczególne numery "Opinii", co było zajęciem bardzo pracochłonnym. Każdy numer miał objętość kilkudziesięciu stron maszynopisu. Byłem autorem większości tekstów, pojedyncze pozycje pisali Ziemiński, Stefan Kurowski (pod pseudonimami Niedbał, Ostaniec, Makowski), Andrzej Szomański ("Kutnowski" z Konwentu nn, pomysłodawca tytułu pisma), Stanisław Poznański ("Podolski" z Kierownictwa Akcji Historycznej nn, prowadził dział emigracji i Polonii). Najgorsza była konieczność przepisania całości na maszynie, od razu w postaci gotowych kolumn pisma, z podziałem na szpalty, graficznym rozwiązaniem tytułów, wcięciem śródtytułów itp. Każdy numer sporządzałem w trzech egzemplarzach (więcej czytelnych kopii nie można było uzyskać) - z czego jeden zachowywałem w archiwum, a dwa - określane jako egzemplarze-matki - przekazywałem jako podstawę do powielenia; po paru dniach kilka przepisanych egzemplarzy wracało do mnie i mogłem je kierować do dodatkowej sieci powielarni, zorganizowanych poza warszawską techniką "Opinii". Dawało to gwarancję, że nawet w razie jakiejś wielkiej wyspy - pismo i tak ukaże się. Ponieważ obowiązków przybywało, coraz trudniej było mi temu podołać. Szczęśliwie, od lipca czy sierpnia zaczął mi bardzo efektywnie pomagać Janek Dworak, w owym czasie sekretarz redakcji jakiegoś miesięcznika sportowego; patrzył na to przez palce jego redaktor naczelny, a mianowicie Zygmunt Głuszek, mój stary znajomy, ongiś harcmistrz Szarych Szeregów, organizator "Zawiszy" i uczestnik konspiracji poakowskiej. Dworak wziął na siebie redakcję oraz przepisanie na maszynie części "Opinii" i robił to doskonale. Jesienią grono autorów wydatnie zwiększył Adam Wojciechowski. To z jego inicjatywy "Opinia" jako pierwsza w polskiej prasie krajowej wysunęła problem i poparła zjednoczenie Niemiec - w owym czasie temat tabu dla całej polskiej publicystyki, niezależnie od zabarwienia politycznego.

Coraz więcej czasu zajmowała mi budowa struktury krajowej ROPCIO. Od późnej wiosny częściej przebywałem gdzieś w Polsce niż w Warszawie. Wymykając się sieciom bezpieki, małym Fiatem 126p krążyłem od Szczecina do Przemyśla. Uczestniczyłem w zamkniętych tajnych naradach oraz imprezach publicznych, coraz większych. Pamiętam, a wyraźny ślad tego jest w teczkach SB, jawne spotkanie zorganizowane w kościele Pallotynów w Szczecinie. Uczestniczył w nim tłum, dobre tysiąc osób, a trwało ponad trzy godziny. Wielu ludzi, choć nie aż tylu przychodziło na jawne spotkania organizowane w Gdańsku. Widać było wyraźnie, że te dwa nadmorskie ośrodki znacznie wyprzedzają resztę kraju i z wolna stają się forpocztami masowego ruchu. Dlatego starałem się, aby w obu tych miastach ROPCiO rozwijało się w szybszym tempie niż średnia krajowa - i wcześniej przechodziło do form masowych. Wielką rolę odegrało w tym środowisko gdańskie Ruchu Obrony (Aleksander Hal, Aram Rybicki, Grzegorz Grzelak, Piotr Dyk, oraz starsi od nich Janek Samsonowicz i Nina Milewska, oboje należący do nn); determinacja, bezustanna aktywność i wielorakość działań tej grupy pociągnęła za sobą inne środowiska opozycyjne Wybrzeża. To oni przenieśli do Gdańska ideę Wolnych Związków Zawodowych, podjętą następnie przez Andrzeja Gwiazdę i Bogdana Borsewicza, a ostatecznie - jako NSZZ "Solidarność" wprowadzoną w życie

przez Lecha Wałęsę.

Kilka miesięcy trzeba było, aby zbudować strukturę krajową. Wykorzystywaliśmy przerzedzoną nieuchronnymi zgonami strukturę nurtu niepodległościowego, pomocą służyli nam dawni uczestnicy ruchu oporu. Oparcie mieliśmy wśród niektórych księży (zwłaszcza Ludwik Wiśniewski - dominikanin i Bronisław Sroka - jezuita, obaj w Lublinie, Hubert Czuma - jezuita w Szczecinie, Czesław Białek - jezuita w Poznaniu, Eustachy Rakoczy - paulin, na Jasnej Górze i w Warszawie, kapelan kombatantów Września, księży diecezjalni Waław Karłowicz w Warszawie i Witek Andrzejewski w Gorzowie - żywcem przypominający tych kapłanów, którzy z szablą w ręku na czele powstańczego szwadronu ruszali w bój). Właściwe struktury Ruchu Obrony tworzyłem jednak głównie z ludzi młodych. Całość przyjmowała kształt organizacyjny, jaki nazywałem "górami lodowymi": mniejsza część na powierzchni, większa schowana pod poziomem morza (tą częścią "podwodną" miało być NN, ale szczęśliwie nie zdążyłem wszystkiego zintegrować, zachowując odrębne siatki nn). Ostatnią fazą formowania każdej dwupoziomowej struktury lokalnej było powołanie jawnego biura (PKI). Z początkiem 1978 r. takich biur było już czternaście: w Warszawie, Łodzi, Krakowie, Gdańsku, Lublinie, Szczecinie, Katowicach, Poznaniu, Wrocławiu, Bydgoszczy, Przemyślu, Kaliszu, Toruniu i Zamościu. Powstała struktura rzeczywiście ogarniająca cały kraj - po raz pierwszy w Polsce poczynając od lat czterdziestych. W oparciu o nią, od lata 1977 tworzyliśmy strukturę wyspecjalizowaną - sieć jawnych Klubów Swobodnej Dyskusji (KSD), regularnie organizujących publiczne wykłady albo spotkania dyskusyjne. W pierwszej fazie założyliśmy ich pięć, przy czym KSD w Lublinie organizował posiedzenia co tydzień, a inne co dwa tygodnie. Podziemna baza - Nurt Niepodległościowy - coraz lepiej zapewniała techniczne warunki dla różnych form jawnej działalności, ale przede wszystkim przygotowywała stworzenie jawnej partii politycznej - jednej, lub kilku spojonych wspólnymi celami. Obok Warszawy pracowały silne ośrodki poligraficzne w Gdańsku, Krakowie i Łodzi, które drukowały ponad dwie trzecie nakładu naszych czasopism i prawie cały nakład wydawanych broszur. Te ostatnie ukazywały się w dwu seriach. Charakter druków podziemnych miała seria NN, zapoczątkowana wydaną jeszcze z początkiem 1976 r. i wznowioną rok później moją broszurą Natalia Naruszewicz, Geneza PRL; w kolejności ukazał się jej dalszy ciąg - Narodziny PRL, a także Ryszarda Zielińskiego: Jan Abramski, Ryszard Żywiecki, Katyń, Romualda Szeremietiewa: Roman Mieczysławowicz, W obcym interesie (historia KPP), Andrzeja Szomańskiego: Mieczysław Zułowski: Wojna z Rosją o Niepodległość 1918-20. Serię drugoobiegową (jawną, poza cenzurą), nazwaną Biblioteka "Opinii" zainaugurowała we wrześniu 1977 r. programowa broszura Karola Głogowskiego Ruch Obrony wobec ratyfikacji Międzynarodowych Paktów Praw Człowieka oraz wydane parę tygodni później Prawa Człowieka - pierwsza w kraju pełna publikacja podstawowych dokumentów świata cywilizowanego: Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka ONZ i Międzynarodowych Paktów Praw Człowieka oraz - w całości - Aktu Końcowego KBWE w Helsinkach. Regularnie ukazywały się czasopisma: od września 1976 podziemne pismo NN - "U Progu", od kwietnia 1977 drugoobiegowa "Opinia", a następnie "Bratniak", "Gospodarz", regionalna "Opinia krakowska", "Ruch Związkowy", a także pierwsze pismo satyryczne "Organ".

W grudniu 1977 r. na konferencji prasowej w przeddzień rocznicy uchwalenia Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka ONZ poinformowaliśmy dziennikarzy, że w ramach Ruchu Obrony uformowały się cztery nurty polityczne: niepodległościowy, ludowy, chrześcijańsko-narodowy oraz liberalno-demokratyczny. Planowałem, że powstanie partii niepodległościowej - określanej wówczas skrótowo NPN (narodowa albo niezależna partia niepodległości) - ogłosimy 11 listopada 1978 r. Zważywszy tempo rozwoju organizacyjnego i politycznego wydawało się to całkiem realne. Czołową rangę uzyskaną przez ROPCiO nie tylko w kraju, lecz całym obozie sowieckim symbolizował fakt, że w grudniu 1977 r. prezydent Jimmy Carter udzielił wywiadu "Opinii" - zapewne pierwszego wywiadu, jaki Prezydent USA dał kiedykolwiek prasie polskiej.

Obok właściwego Ruchu Obrony inicjowaliśmy struktury środowiskowe. Niektóre ze względów

bezpieczeństwa były całkowicie izolowane. Ciągłe działała jawna grupa "Niepokonanych" ("Nn") o pozorowanym charakterze kombatanckim, a także "Centralizacja", kierowana do śmierci bezpośrednio przez gen. Abrahama, a następnie przez nieformalną grupę której przewodził o. Eustachy Rakoczy a firmował gen. Boruta-Spiechowicz; inną, nieco konkurencyjną strukturą organizującą m. in. wrześniową pielgrzymkę kombatanatów opiekował się ks. prałat Wacław Karłowicz, ongiś - wspólnie z ks. Stefanem Wyszyńskim - kapelan AK w Kampinosie. Znacznie większe środki ostrożności utrzymywaliśmy na styku struktur rzeczywiście tajnych. Np. poza ramami zarówno NN jak ROPCiO, choć rzecz jasna w bezpośrednim związku z Konwentem nn, Romuald Szeremietiew i Tadeusz Jandziszak - "Pablo", a później także Tadeusz Stański - "Błoński" stworzyli wewnętrzną grupę opozycyjną w stowarzyszeniu PAX; sam Szeremietiew uczestniczył jednak równolegle w pracach NN i ROPCiO, co okazało się zresztą nie najszcześniejszym pomysłem. Nadal działało Kierownictwo Akcji Historycznej nn (Szomański, Poznański), które obok swych normalnych zadań przejęło dodatkowy obowiązek utrzymywania bezpośredniej łączności z Londynem (choć kontakt na Ligę Niepodległości Polski - emigracyjny odpowiednik późniejszej KPN zapewniały niezależnie inne placówki: "ZOSIA", "ŻYWIEC" i "ŻDŹBŁO"). Raczej w związku z nn niż ROPCiO, ale poza NN powstały dwie inicjatywy półjawne: Adam Macedoński zorganizował w Krakowie "Instytut Katyński", który obok wydawania "Biuletynu Katyńskiego" i różnych wydawnictw organizował również akcje bezpośrednie, a ponadto powołaliśmy Społeczny Instytut Pamięci Narodowej im. J. Piłsudskiego, w czym istotną rolę odegrali Szomański i Szeremietiew.

Większość inicjatyw wiązaliśmy jednak bezpośrednio czy pośrednio z ROPCiO. W sierpniu 1977 r., po zakończeniu Warszawskiej Pielgrzymki Pieszej, zorganizowaliśmy w klasztorze w Świętej Annie pod Częstochową naradę studencką - środowiska w którym uczestniczyli nie tylko gdańszczanie z Olkiem Halem i lublinianie z Marianem Piłką, ale również przedstawiciele nowych grup, w tym Jacek Bartyzel z Łodzi. W roli swoistych konsultantów tej narady występowali dwaj duszpasterze akademicy Wiśniewski i Sroka oraz Moczulski. Pierwszym efektem stało się powołanie pisma "Bratniak". Później to środowisko założyło Ruch Młodej Polski. Adam Wojciechowski nawiązał kontakt z inną grupą, która przystąpiła do wydawania "Gospodarza"; było to pierwsze pismo drugiego obiegu przeznaczone dla wsi, a także pierwsze wydawane techniką typograficzną (z normalnego składu drukarskiego). Oficjalnym współredaktorem "Gospodarza" został Piotr Typiak, działacz ludowy jeszcze z okresu międzywojennego, a po 1945 r. jeden z czołowych przywódców PSL (faktycznym redaktorem był Stanisław Michalkiewicz). Wspólnie z Michałem Jagłą, dawnym szefem mikołajczykowskich "Wici" byli oni współorganizatorami dwu ważnych inicjatyw: Zespołu Seniorów Ruchu Ludowego oraz Ośrodka Myśli Ludowej. Od września 1977 r. montowaliśmy pierwsze struktury chłopskie na wsi, czołową rolę w ich stworzeniu odegrał Janusz Rożek - rolnik spod Milejowa w lubelskim. Mimo, że kręgu oddziaływania Ruchu Obrony szybko znaleźli się robotnicy - uczestnicy Grudnia 1970 (wśród nich Lech Wałęsa) - tworzenie struktury pracowniczej szło jak po grudzie. Powołany przez Juliusza Garsteckiego, osobę zdecydowanie kontrowersyjną⁹, Ośrodek Myśli Socjalistycznej nie miał kontaktów w środowiskach robotniczych. Działający w ROPCiO robotnicy, jak Jan Zapolnik, jeden z przywódców strajku gdańskiego w 1970 r., byli skutecznie blokowani przez bezpiekę. Dopiero w początkach 1978 r. udało mi się przekonać Kazimierza Świtonia, żeby przystąpił do organizacji Wolnych Związków Zawodowych na Górnym Śląsku. Nawiasem mówiąc Świton - fundamentalistyczny katolik - najpierw odmówił, gdyż związki zawodowe uważał za wymysł szatana - czyli komuny; przekonałem go jednak m. in. przy pomocy ..."Trybuny Ludu", która szczęśliwie w tym właśnie czasie atakowała francuskie Chrześcijańskie Związki Zawodowe. W powstaniu pierwszej grupy WZZ w styczniu-lutym 1978 r. kluczową odegrali zresztą ostatecznie Roman Kściuczek z Mysłowic i Stanisław Tor z Krakowa (później obaj w KPN), a w przeniesieniu inicjatywy do Łodzi

⁹ Garstecki, podczas okupacji związany był z żoliborskim PPS, ale nigdy nie ukrywał, że w latach czterdziestych znalazł się w wywiadzie wojskowym PRL. W 1975 r. współzałożyciel - wraz z J. J. Lipskim - Klubu Krzywego Koła, ale później obaj bardzo się skłócili.

i Gdańska - wspomniany Zapolnik, związany bezpośrednio z późniejszym RMP; Jaś odegrał też zasadniczą rolę w stworzeniu łódzko-gdańskiego "Przeglądu Związkowego". Przygotowanego już prawie całkowicie politycznego pisma dla środowiska robotniczego nie udało mi się uruchomić.

Zagrożenie narastało szybko. W tym samym tempie, w jakim rozwijał się Ruch Obrony. W ciągu kilku miesięcy z niewielkiej inicjatywy obrońców praw człowieka ROPCiO przekształciło się w zorganizowaną strukturę obejmującą cały kraj, o wielorakich zakresach działania i błyskawicznie rosnących wpływach. Mimo, że nie dysponowaliśmy szerszą bazą finansową ani nie cieszyliśmy się poparciem RWE - zarówno strukturalnie jak politycznie coraz wyraźniej dystansowaliśmy KOR. Jednym z tego skutków stało się, że zaczynał on iść w nasze ślady, poszerzając swą działalność i - wprawdzie z oporami - nadając jej również charakter polityczny. Już jesienią 1977 r., w jakiś czas po rozwiązaniu własnych spraw wewnętrznych i przekształceniu w KSS "KOR" - w środowisku tym zdecydowano pójść przetartą przez nas drogą tworzenia jawnych czasopism oraz organizacji struktur zorganizowanych. Bardzo rozwinął się "Biuletyn Informacyjny KOR", który ze zbioru komunikatów i oświadczeń stał się w 1978 r. doskonałym pismem publicystycznym. Wielkim osiągnięciem była prowadzona przez Mirosława Chojeckiego Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA. Nawiasem mówiąc, jako pierwszą pozycję Mirek opublikował mój "Memoriał" z grudnia 1976 r., w czym jakoś pomagał mu Ziemiński; w każdym razie wczesną jesienią 1977 r. obaj wspólnie wręczyli mi w kawiarni "U Marca" ("Antycznej") okazowe egzemplarze. W owym czasie tekst ten - jedyny w obiegu zapowiadający rychły upadek PRL - cieszył się sporą popularnością.

Skok, jaki środowiska korowskie dokonały w rozwoju ruchu wydawniczego był na prawdę imponujący. Znacznie trudniej szło im z tworzeniem struktur politycznych. Wprawdzie jesienią 1977 r. w KOR zrodziła się koncepcja Ruchu Demokratycznego - z dużych liter, jak postulował Antoni Macierewicz, zwolennik sformalizowanej organizacji na kształt ROPCiO. Jacek Kuroń domagał się jednak małych liter i niesformalizowanego ruchu o charakterze czysto społecznym, złożonego z ludzi podejmujących spontaniczne i niezależne od siebie działania. Zwycięstwo Macierewicza doprowadziło to tego, że w praktyce RD nigdy się nie uformował, a sama nazwa po jakimś czasie zanikła. Jedynym trwałym skutkiem pozostał "Głos" - wedle wzorca "Opinii" wydawane od przełomu 1977/78 r. przez Macierewicza czasopismo Ruchu Demokratycznego.

W sumie stworzona została nowa sytuacja polityczna. Gdy jesienią 1976 r. istniał tylko KOR - społeczny zespół ludzi dobrej woli, organizujący pomoc dla represjonowanych oraz jedna gazetka podziemna - wydawane przez NN "U Progu" - to rok później istniała już otwarcie polityczna, pluralistyczna opozycja polityczna, jawnie działały szeroko rozbudowane struktury niezależne i powstał cały system wydawnictw drugoobiegowych. Pierwsza, nieprzemyślana kontrakcja władz - aresztowanie po morderstwie Pyjasa kilkunastu działaczy KOR - nie zastraszyła środowisk opozycyjnych, a raczej przyspieszyła organizowanie działań politycznych. Było rzeczą oczywistą, że władze muszą na to jakoś zareagować, stosując bardziej przemyślane i zróżnicowane środki. Łatwo było się domyśleć, że sukcesy Ruchu Obrony przesądzają, że kontrakcja skierowana będzie głównie przeciwko nam. Poza nadawaniem tonu politycznego i ciągłą eskalacją metod działania, stawaliśmy się groźni jako struktura zorganizowana.

Jesienią 1977 r. zaczęły nadchodzić coraz liczniejsze sygnały ostrzegawcze. Zbyszek Załuski, który to narastanie zagrożenia mógł obserwować z dogodnej pozycji w samym środku Białego Domu, okazywał coraz większe zaniepokojenie. Ślad tego znajduję dzisiaj w aktach: jakiś agent melduje o podsłuchanej rozmowie, w której Załuski ostrzega Moczulskiego, że grozi uderzenie z różnych stron. Pamiętam to dobrze; w krótkim czasie po wrześniowym Ogólnokrajowym Spotkaniu ROPCiO rozmawialiśmy kolejno w trzech różnych miejscach: na Jezuickiej na Starym Mieście (fragmenty tej rozmowy podsłuchano), w Domu Literatów w Oborach, wreszcie w odległej leśniczówce gdzieś nad Pilicą. Załuski w oparciu o własną obserwację oraz materiały, do których miał dostęp w KC (bardzo różne, np. pełne nasłuchy radia Wolna Europa czy zbiorcze informacje

sytuacyjne przygotowane w MSW) dokonał profesjonalnej, rzeczywiście sztabowej oceny sytuacji. Jego zdaniem trzeba się było liczyć ze zmasowanymi uderzeniami prowadzonymi na wszystkich frontach zewnętrznych i wewnętrznych. Ze strony władz PRL podjęte miały być wielorakie działania. Polityczne miały zmierzać zwłaszcza do wywoływania wrażenia bezprzedmiotowości naszych postulatów, co chciano osiągnąć przez pozorowanie ich spełniania, a także przez zmniejszanie wiarygodności Ruchu Obrony na Zachodzie. Towarzyszyć miała temu propaganda posługująca się wszelkimi dostępnymi środkami; z góry zakładano, że należy fabrykować oszczerstwa - jakiegokolwiek, bez szukania naszych rzeczywistych słabych stron. Instancje PZPR i zależne od nich organizacje młodzieżowe otrzymały zadanie stworzenia ekip zdolnych do bezpośredniego przeciwstawiania się naszej argumentacji podczas publicznych spotkań z działaczami ROPCio w Klubach Swobodnej Dyskusji; jeśli trzeba, do akcji miała wkraczać MO i przygotowane "bojówki studenckie" (rzeczywiście, od jesieni 1977 mnożyły się wkroczenia do PKI, rewizje i zatrzymania, a pierwsze fizyczne rozbicie dyskusji nastąpiło w styczniu 1978 r. w łódzkim KSD, podczas prelekcji Bogdana Cywińskiego). Wszystkie osoby uczestniczące w działalności Ruchu Obrony miały być zwalniane z pracy i pozbawiane źródeł utrzymania, a równocześnie przedstawiane jako cwaniacy, zagarniający pieniądze ofiarowane im przez ludzi na działalność opozycyjną; studentom miano powodować kłopoty na uczelniach, aż po relegowanie (ten element planu stosowany był nie konsekwentnie: w Warszawie Grzywaczewskiego usiłowano wyrzucić z ATK, aż musiał interweniować w jego obronie ówczesny ks. prałat Józef Glemp, gdy koledzy Maćka z tej samej grupy, studiujący na Uniwersytecie Gdańskim nie mieli większych kłopotów; na Wybrzeżu był inny klimat, a ponadto miejscowy szef PZPR - Tadeusz Fiszbach starał się jak mógł liberalizować instrukcje centrali). Kluczowe zadania wykonać miała bezpieka: doprowadzić do izolacji Ruchu Obrony zarówno od innych struktur i środowisk opozycyjnych oraz niezależnych (zwłaszcza związanych z Kościołem) i tzw. chwiejnych, jak też odciąć od możliwego wsparcia propagandowego i finansowego organizowanego przez emigrację i Polonię dla Kraju. Tak osaczone ROPCio miano poddać ściślejszej niż dotychczas inwigilacji, a w szczególności doprowadzić do wykrycia i likwidacji możliwości techniczno-drukarskich i kolportażowych. Najważniejszym zadaniem było jednak rozbijanie istniejących struktur przy wykorzystywaniu wszelkich poza prawnych i przestępczych form działania. Należała do nich tzw. kompromitacja działaczy drogą masowego upowszechniania wszelakich oszczerstw, w tym spektakularnych zarzutów moralnych i "przypadkowego" ujawniania fałszywych dowodów współpracy z SB. Zbyszek nie wykluczał brutalnych prowokacji, a nawet "fizycznego likwidowania" niektórych osób. Tym bardziej, że dość wyraźnie dawało się odczuć zwiększenie aktywności polskiej siatki KGB.

Załuski przedstawił mi również dane, z których wynikało, że środowiska, które określaliśmy umownie jako zdominowane przez "eurokomunistów" nie zamierzają dać się zdystansować i ze swej strony szykują akcję prowadzącą do osłabienia i zmniejszenia wiarygodności Ruchu Obrony. Zagadnienie to znałem oczywiście od dawna. Środowiska te dysponowały znacznymi wpływami w różnych kręgach centrolewicowych na Zachodzie, w tym wśród intelektualistów, ludzi sztuki i kultury, w środkach masowego przekazu, a także w związkach zawodowych. Po 1968 r. przedstawiciele "lewicy laickiej" zakorzenili się mocno również w polskiej emigracji politycznej, zwłaszcza na terenie Francji, Wielkiej Brytanii, Szwecji i Niemiec, co m. in. dało im poważne wpływy w polskiej prasie i audycjach radiowych (zwłaszcza RWE i BBC). Załuski ostrzegał, powołując się na rozmaite dowody, że z ich strony nie ma co liczyć na jakąkolwiek życzliwość, a choćby neutralność - a wręcz przeciwnie. Niezależnie od samej rywalizacji politycznej, która zawsze może przybierać bezwzględne i brutalne formy, bardzo silnie działało dość powszechne w tamtych środowiskach przekonanie, że w Ruchu Obrony zagnieździłi się sami "nacyjaliści i antysemita".

Kolejny front tworzyły środowiska endeckie, programowo przeciwne polityce czynnej. Od dziesiątków lat propagowały one tezę, że powstania narodowe i w ogóle działalność

niepodległościowa, charakterystyczna dla nurtu piłsudczykowskiego jest szczególnie niebezpieczna dla Polski, bo grozi "wymordowaniem młodzieży" i zagładą biologiczną narodu. W jawnych działaniach Ruchu Obrony niektórzy co bardziej zapiekli krytycy widzieli antypolską prowokację "światowego żydostwa"; tego rodzaju ostrzeżenia masowo wysyłał normalną pocztą do kraju Jędrzej Giertych z Londynu. Zagrożenie zupełnie innego rodzaju tworzyła liczna rzesza ambitnych i inteligentnych oportunistów. Zdawali oni sobie sprawę z kryzysu systemu oraz przesuwania opinii publicznej na stronę opozycji. Aby zająć dobre pozycje na przyszłość, środowiska te szykowały się do podjęcia działalności półopozycyjnej, przekonane, że dobrze zostanie to przyjęte przez społeczeństwo, a w istniejącej sytuacji nie wywoła represji ze strony władz. Siłą rzeczy grupy takie musiały być niechętnie nastawione do rzeczywistej opozycji, zwłaszcza niepodległościowej; w obronie własnych pozycji gotowe były do otwartego atakowania tzw. radykałów.

Ocena sytuacji, przedstawiona przez Załuskiego była bardzo ostra. - Zbudowałeś wielki fakt - powtarzał parokroć (tak to, podczas pierwszej rozmowy podsłuchał agent) - ale teraz nadchodzi uderzenie ze wszystkich stron. Nie można go zatrzymać, a tym bardziej nie wolno cofnąć się, zamrozić działalności na jakiś czas. Aby przetrwać to zmasowane uderzenie, trzeba choćby częściowo odciągnąć przeciwnika, wysunąć do przodu "łamacz fał".

Tę koncepcję opracowaliśmy już dość dawno, ale tylko myślowo, nie organizacyjnie. Pomysł był prosty: w momencie, gdy władze rozpoczynają będą uderzenie w wydobyte na poziom jawności struktury niepodległościowe, powinno nastąpić zaskakujące ujawnienie nowej organizacji antyrządowej - której charakter miał być szczególnie bulwersujący dla rządzącego establishmentu. Wysłanie takiego "łamacza fał" do przodu storpeduje atak na główny ośrodek nn. Niestety, zabrakło nam czasu, środków i zwłaszcza ludzi, aby przygotować to organizacyjnie. "Łamacz fał" mogło być zresztą kilka. Jeden z nich przygotowywał Szeremietiew. Stworzył on wewnątrz Stowarzyszenia PAX grupę opozycyjną, do której wciągnął ok. dziesięciu przewodniczących oddziałów wojewódzkich PAX i więcej jeszcze szefów regionalnych młodzieżówek. W największej tajemnicy - znaliśmy to tylko my dwaj - omówiliśmy z Romkiem jego zadanie: w momencie gdy dojdzie do otwartego kryzysu, kilkanaście oddziałów wojewódzkich PAX przystąpi do ROPCiO, ogłaszając to na konferencjach prasowych, wywieszając transparenty na budynkach i organizując masówki. Władze będą miały do wyboru: albo uznać fakt dokonany, albo skierować milicję do rozbijania legalnie istniejącego stowarzyszenia.

Załuski nie znał moich ustaleń z Szeremietiewem, nawet nie wiedział, że uzyskaliśmy jakieś pozycje w PAXie. Teraz wystąpił z projektem w znacznie szerszej skali: szybkiego przygotowania organizacji w środowiskach związanych z władzą, ale sprawę Polski przedkładających ponad interes PRL. To chwila decydująca - pamiętam jego zduszony głos - Niech wybierają: Polska czy PRL. Niech się nareszcie zdecydują!

Miałem wielkie obawy: czy uda się to w ogóle zorganizować, czy na czas, czy powinien robić to Załuski. Zbyszek postawił sprawę dramatycznie: Ja już dłużej nie jestem w stanie znieść tej przeklętej sytuacji, zawieszony między niebem i piekłem. Nie bój się: nie zabiorę ci z roboty ani jednego człowieka, nie chcę jakiegokolwiek pomocy. Sam muszę dać radę. Jeśli mi się nie uda, sam za to zapłacę. Ja sam, ani nurt, ani Ruch Obrony nie poniosą z tego powodu uszczerbku.

Niechętnie, zgodziłem się. Wiedziałem, że niezależnie od losu "łamacza fał" takie działanie choć trochę osłabi uderzenie na nas i wprowadzi zamieszanie w obozie przeciwnika - tak przez nas oczekiwany i upragniony desordre chez l'ennemi - jak to nazywaliśmy za de Gaullem. Czuję jednak, że oznacza to rzucenie Zbyszka na pożarcie. Z drugiej strony czy mogłem zabronić osłonięcia przyłbicy temu tak straszliwie uwikłanemu przez los człowiekowi, pozbawić go możliwości ukazania prawdziwej twarzy? Czy mogłem...? Myślę, coraz częściej, że wydałem wtedy na niego wyrok śmierci - niezależnie od tego, jaka była jej bezpośrednia przyczyna.

Załoski był postacią tragiczną. Budził go często ten sam sen: rok 1940, wywożą ich z Kiwerc zaplombowanymi wagonami, pociąg rusza - i wtedy wszyscy głośno zaczynają śpiewać "Polonię" i "Rotę". Dopiero w latach siedemdziesiątych udało mu się dostać na teren dawnego łagru gdzieś pod jednym z wielkich miast Azji Środkowej; płacząc, opowiadał mi jak całą noc, w deszczu, chodził po rozmiękłym klepisku, gdzie - wdeptane w ziemię przed trzydziestu laty - spoczywały zwłoki jego Matki. Całym sercem był z nami - ale tylko sercem, bo rozum, często tak niebezpieczny w chwili najważniejszego wyboru, przypominał o potędze wroga - rzeczywistej potędze, przed którą drżał przecież cały świat. Konrad walczył z Kordianem, Kordian przegrał sam z sobą. Odwołanie do naszych romantycznych sporów jednak nie wystarcza, los umieścił go w antycznej, greckiej tragedii - jak Antygonę, postawioną przed nieubłaganą, niemożliwą do spełnienia koniecznością wyboru pomiędzy dwoma odpowiedzialnościami i dwoma sprzecznymi systemami wartości. Nie dał się zmiażdżyć - i spotkało go to szczęście, że nie dożył stanu wojennego - ostatecznej próby pokolenia, z którą nie wszyscy uczciwi ludzie potrafili sobie poradzić.

Ocena sytuacji, dokonana przez Załoskiego nie była jedynym sygnałem. W lawinowym tempie zaczęły płynąć ostrzeżenia od różnych ludzi, którzy wprawdzie nie tworzyli jednolitej struktury, ale stanowili dla nas "wysuniętą linię samoobrony". Najważniejsza była rozmowa, jaką nieprzerwanie przez dwa zimne i wilgotne dni prowadziłem w niewielkim domku na skraju lasu, niedaleko zalewu Tyrawskiego na Opolszczyźnie. Moim rozmówcą był "Niedźwiedź" - mjr. Zbigniew Makush-Woronin, zawodowy i nałogowy oficer wywiadu ofensywnego, przed wojną dowódca placówki oficerskiej II Oddziału w Tarnowskich Górach (płytki wywiad na Śląsk), podczas wojny w wywiadzie AK (m.in. szef wywiadu Obszaru Południowo Wschodniego - lwowskiego), po wojnie WiN. Warto wyjaśnić, że wiosną 1945 r. Makush - jako "kpt. Wir" - organizował siatkę w byłych środowiskach konspiracyjnych, podejmujących teraz służbę w LWP, między innymi w organizacji PAL. Komendant PAL Stanisław Pieńkoś - "gen. Skala" szukał, na polecenie osławionego gen. NKWD Iwana Sierowa, kontaktu z polskim podziemiem, a ponieważ znał fakt wcześniejszej - jak sądził - służby Makusha w AK, przekazał mu informację o propozycji rozmów. "Wir" zameldował o tym natychmiast gen. Okulickiemu - "Niedźwiadkowi" wraz z oceną, że jest to najpewniej prowokacja. Kierownictwo podziemia propozycję rozmów jednak przyjęło, ale zgodnie z ostrzeżeniami Makusha przecięto natychmiast kanał wojskowy, uruchamiając cywilny (przejął go Józef Stemler-Dąbski - "Dąbrowski", zastępca dyrektora departamentu informacji Delegatury Rządu). Aby zamknąć drogę do Okulickiego, podczas przesłuchania przez Sierowa i Pimienowa 13 marca 1945 r., "Wir" zażył truciznę, ale natychmiastowa akcja sowieckich lekarzy uratowała mu życie. Wkrótce zresztą sprawa stała się bezprzedmiotowa, bo gen. Okulicki wraz z wicepremierem Jankowskim i przewodniczącym Rady Jedności Narodowej Pużakiem sami zgłosili się 27 marca do kwatery Sierowa w willi na osiedlu Ostoja Pęcicka, wówczas odrębnym mieście-ogrodzie pod Pruszkowem. Mieli świadomość, że najpewniej zostaną uwięzieni - ale w istniejącej sytuacji międzynarodowej nie mogli dać pretekstu Stalinowi, że polski ruch oporu odmówił rozmów.

Znałem to z różnych źródeł, najmniej od "Niedźwiedzia". Może najważniejsza była obszerna relacja Teofila Sygi, który jako ostatni na wolności, w nocy na 27 marca przeprowadził dwugodzinną rozmowę z Okulickim. Teraz myślałem o tym, patrząc jak Makush otwiera drzwi na ogród, w późnojesienną szarugę, sprawdzając czujność psów. Potem wracaliśmy do rozmowy. "Niedźwiedź" metodycznie referował informacje, wstrzymując się od jakichkolwiek ocen, jedynie zwracając uwagę na zbieżności lub sprzeczności poszczególnych meldunków. Najpierw szczegółowo przedstawiał odcinek безпеki, zwłaszcza stopień zagrożenia bezpośrednimi represjami fizycznymi oraz ewentualnym uderzeniem masowym, zmierzającym do rozbicia naszych struktur; tendencje takie nasilały się zwłaszcza w aparacie terenowym, szczególnie w województwach peryferyjnych (lubelskie, zamojskie, wałbrzyskie, legnickie, bydgoskie). Centrala panowała jednak nad sytuacją, a Gierek zachowywał kontrolę nad resortem zwłaszcza przez min. Kowalczyka i gen. Krzysztoporskiego - szefa departamentu III. Ale oni obaj przyszli do MSW z

cywila, z pionów gospodarczych; wszyscy pozostali członkowie szerokiej grupy kierowniczej MSW mieli staż czekistów - co najmniej od 1945 r., na ogół z UB, choć niektórzy z NKWD. Najbardziej agresywną postawę reprezentował gen. Pożoga; zdaniem "Niedźwiedzia" żaden jednak nie dojrzał, aby podjąć działania na własną rękę, wbrew kierownictwu politycznemu. Jedynym wyjątkiem mógł stać się gen. Mirosław Milewski - całkowicie dyspozycyjny wobec swoich sowieckich zwierzchników. Rosjanie zresztą wzmacniali swe pozycje w resorcie, w ciągu 1977 r. wzywając do Moskwy różnych oficerów - nie tylko z centrali, ale także z terenu. "Niedźwiedziowi" udało się ustalić, że było takich co najmniej kilkunastu, w tym jeden z Warszawy; jego zdaniem wszyscy byli wcześniej zwerbowani przez KGB. Na myśl mi nawet wówczas nie wpadło, że po latach będę miał rękę teczkę personalną ppłk. Mj. - szefa wydz. III i kierownika akcji w Warszawie przeciwko Ruchowi Obrony; teraz znam dokładnie czerwcową 1977 datę jego tygodniowego pobytu w Moskwie, a także wcześniejsze dwunastomiesięczne przeszkolenie 1975/76.¹⁰ Obok działań prowadzonych za pośrednictwem swych wtyczek w SB i różnych innych służbach oraz instytucjach - KGB podejmowało również jakieś samodzielne akcje rozpoznawcze, a zapewne i operacyjne, choć nie udało się natrafić (na razie - uśmiechał się "Niedźwiedź") na jakieś konkretne ślady. Również w wojsku nie tylko ekspozytura GRU, lecz również oficerowie z sowieckich garnizonów zaktywizowali działania rozpoznawcze, niektóre dość manifestacyjne: *udają, że szukają rejonów zakwaterowania dla nowych jednostek sowieckich, jakby dawno nie zostały ustalone; to typowa dezinformacja*. Wszystkim tym kierownictwo PRL wydaje się być coraz bardziej zaniepokojone; może najmniej sam Gierek, ale już nie Jaroszewicz. Kania dwukrotnie w ostatnich miesiącach widział się z Andropowem, gdy Kowalczyk tylko raz; obaj dość wstrzemięźliwie przedstawiają rozmowy. Przyczyniły się one jednak niewątpliwie do wzrostu zdecydowania; zaostrenie polityki wobec opozycji wydaje się niewątpliwe. Jednak prawie wszystkie dane wskazują, że nie będzie to, wedle określenia Gierka, francuski cyrk. Żadnych masowych akcji policyjnych, żadnych aresztowań przed świtem, nic spektakularnego. *Towarzysze z bezpieczeństwa mają dość ludzi, aby każdego z tych dysydentów z czterech stron obstawić agentami, a z drugich czterech - funkcjonariuszami, aby nikt nie drgnął* - "Niedźwiedź" cytował Pierwszego Sekretarza, zapewniając, że nie tylko treść, ale również stylistykę przekazuje wiernie. Wierzyłem mu. Przez ćwierć wieku, może dłużej tworzył siatki swoich informatorów, a teraz to zagrało. Nie wiedziałem i nawet nie próbowałem pytać, skąd to wszystko wie; kiedyś tylko, najzupełniej przypadkowo przekonałem się, że jedna z jego wtyczek osadzona była w bezpośredniej bliskości wpływowego członka Biura Politycznego - Kazimierza Barcikowskiego. Dziś, po latach mogę tylko stwierdzić, że mjr Makush-Woronin był wyjątkowym profesjonalistą.

Wtedy wstrzymał się od formułowania wniosków, ale i tak wszystko było jasne. Obręczą ścisną nas dokładnie, uderzenie wykonają od środka. Kim? Trzeciego dnia mrocznym rankiem zrobiłem parokilometrowy spacer po lesie, później jakimś autobusem na zachód, znów spacer, pociągami na południowy wschód - i dotarłem do samochodu, zaparkowanego przy podgórskim hoteliku. Rozpaczliwie poszukiwałem rady. Generał nie żył od roku. W Warszawie przekazałem płk Pluta-Czachowskiemu prośbę o szybkie spotkanie i w najgłębszej konspiracji - nie tylko przez bezpieczeństwo, także przed Ruchem Obrony i KORem spotkałem się z "Andrzejem". Doktor potwierdzał wszystkie obawy: również oczekiwał kontrakcji władz, a na doprowadzenie do choćby jakiej takiej współpracy obu odłamów opozycji nie można było liczyć; dobrze będzie, jeśli nie wybuchnie otwarty konflikt. Chyba nie dość uważnie odebrałem jego uwagę, że najbardziej nieprzejednani wobec nas są nam najbliżsi politycznie. Potraktowałem to jako ocenę sytuacji wewnątrz KOR,

¹⁰ W warszawskiej bezpiece było zresztą kolejno dwu oficerów o tym samym nazwisku Mj., przy czym obaj przedstawiali się na zewnątrz jako majorzy. Gdy właściwy ppłk Mj. odszedł z SB w końcu 1979 r., koncentrując się na drugim z posiadanych etatów, zastąpił go imiennik; nawet oficerowie SB pracujący w innych biurach Pałacu Mostowskich nie bardzo orientowali się, że nastąpiła podmiana osoby. Właściwy Andrzej Mj. skierowany został do pracy poza Warszawę, a może nawet poza Polskę; wrócił jesienią 1981 r. (we wrześniu przydzielono mu mieszkanie), a od 1. I. 1982 r. był naczelnikiem wydziału w Głównym Inspektoracie Ministra SW - gen. Kiszczaka. Według danych ewidencji ludności zmarł wkrótce po 1990 r. - choć po prawdzie można się zastanawiać, który to Mj. umarł, i czy nazwiska były prawdziwe.

trochę zdeformowaną sympatią Doktora do Jacka Kuronia. To był błąd. Ani jemu, ani sobie nie zadałem pytania: dlaczego? Przecież powinno być odwrotnie? No cóż, nadmiernie długo przechodziłem obojętnie wobec faktu, że ze środowisk korowskich tylko lewica laicka miała dłuższe doświadczenie polityczno-konspiracyjne.

Pluta-Czachowski wezwał z Rudy Pabianickiej płk. "Filipa" - Józefa Szostaka. Rozmawialiśmy w jakimś mieszkanku na Żoliborzu; byłem tu po raz pierwszy i ostatni. Gospodarze, oczywiście, wyszli wcześniej, nim się zjawiłem. Mimo, że lokal był najwyraźniej czysty i sprawdzony, mówiliśmy półgłosem, plecami do okna. Obaj zachowywali się tak, jak szefowie dwu kluczowych Oddziałów i zastępcy szefa sztabu KG AK zachowywać się powinni. Dość wiernie, bo na świeżo przekazałem im resumé sprawozdania "Niedźwiedzia" oraz syntetyczny przegląd innych wiadomości. Przez chwilę rozmawialiśmy o oficerach wywiadu; nie po raz pierwszy. Był to stały ból konspiratorów. Wielokroć słyszałem, nie tylko od Czachowskiego - że "dwójkarze" pękają przy pierwszym przesłuchaniu; mają to we krwi, bo tak byli szkoleni. "Radosław" - płk. Mazurkiewicz, zawodowy oficer Oddziału II - jako szef Kedywu prosił zaprzyjaźnionych podkomendnych, aby go zastrzelili, gdyby miał wpaść w ręce Niemców - bo nie ręczy za siebie. W ręce Gestapo nie dostał się nigdy, ale aresztowany przez UB, pękł szybko. Dr Rybicki opowiadał mi parę razy, jak "Radosław" - przecież wspaniały organizator akcji zbrojnych i wielki bohater Powstania - w końcu lata 1945 r wypuszczony z Koszykowej¹¹ referował członkom kierownictwa nowo powstającego WiN przedstawioną mu propozycję "honorowego i rozsądnego" samorozwiązania podziemia. - Podpisałeś? - zapytał Rzepecki. - Nie podpisałem - odpowiedział Radosław. Obradowali w jakimś mieszkaniu w ocalałym domu przy Wilczej czy Hożej, dzień bardzo gorący, przez otwarte okna słychać było, jak Marszałkowską jedzie samochód-szczekaczka, z umieszczonego na dachu głośnika nadający na przemian muzykę i komunikaty. Głos zbliżał się, stawał coraz bardziej wyraźny - i wtedy usłyszeli: Żołnierze Armii Krajowej! Wychodźcie z lasu. Apel Pułkownika Radosława. Wychodźcie z lasu! Żołnierze... Głos zaczął się oddalać. Pułkownik Radosław wstał, skłonił się zebrany i wyszedł z pokoju. - Wcześniej przecież prosił: zastrzelcie mnie, żebym... Teraz myślałem o truciznie, jaką w ten marcowy wtorek, patrząc w oczy Sierowa, przeżył Makush-Woronin. Oficerowie wywiadu... Kondycja człowieka. Ale przecież Tatar nie był dwójkarzem; wszyscy w naszym środowisku znali dokładnie tragedię pułkownika Pluty-Czachowskiego, gdy jego najbliższy przyjaciel - właśnie gen. Tatar - zdradził, z sowitym wianem, specjalnym samolotem przybywając z Londynu do Warszawy, aby oddać się do dyspozycji Ludowej Władzy. Płacił potem straszliwie, torturowany w lochach Informacji; z więzienia wyszedł już tylko strzęp człowieka. Czachowski opiekował się nim do śmierci - swojej, ale ręki nie uściśnął. Tatar, wspaniały generał "Tabor", szef operacji Komendy Głównej. Również Rzepecki, wspaniały "Prezes", który zdołał odbudować całe podziemie po aresztowaniu gen. Okulickiego, stworzył WiN - a po procesie wyszedł z więzienia i przyjął posadkę wicedyrektora Wojskowego Instytutu Naukowo-Wydawniczego LWP, gdy jego współoskarżonemu, kapitanowi (wówczas) Marianowi Gołębiowskiemu (cichociemnemu, z Kedywu AK, z WiNu, a później z NN i Ruchu Obrony) karę śmierci zamieniono na dożywocie. Pamiętam oczy Rzepeckiego, gdy - w latach siedemdziesiątych - mówił mi półszepem: Ja już wiele nie mogę, ale wszystko, co trzeba... Abraham i Pluta nadal byli przeciwni. "Niedźwiedź" zażył truciznę, wracała natrętna myśl. Tyle razy zastanawiałem się, czym on płaci za te wszystkie informacje. Także wówczas, przez krótką chwilę. Dzisiaj wiem, jak umierał i dlaczego umarł. Dzisiaj wiem, co zgromadził i pozostawił, gdy po śmierci wpadną do jego mieszkania. Wiem, że nie płacił niczym, co przyniosłoby nam szkodę. Tylko sobą.

Aby to napisać, potrzebowałem aż tylu słów. W rzeczywistości wszystko trwało parędziesiąt sekund. Wymieniliśmy kilka zdań. - Ci dwójkarze... - *Nie wierzę się nikomu. Tylko słucham.* - Tak, oczywiście, ale nie wolno im ulegać. - Chwila milczenia. - *Co postanowiłeś, jaka twoja decyzja?*

11 Mieściła się tam siedziba Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Obejmowała ona prawie cały obszar zamknięty w trójkącie ulic Koszykowa, al. Róż, al. Ujazdowskie (wyjątkiem były budynki Ambasady Brytyjskiej).

- Idziemy do przodu, panie pułkowniku.

Odprężenie. W pokoju jakby stało się jaśniej. Podchodzę do okna, pustą uliczkę lampy oświetlają również bardzo jasno. Aha, spadł śnieg! Zapowiada się piękna zima, będzie dobra narciarska pogoda. - No to do przodu.

Wracam na kanapkę. Długa, szczegółowa rozmowa. Jak oni to, to my to. Gdy zdarzy się... wtedy tak, albo tak... Skryć na trzeciej linii... wysunąć do przodu... Zwykle omówienie sytuacji, żeby w rozgrywce nie popełnić zbyt wielu błędów.

Dalsze wydarzenia zbiły mi się w pamięci w jeden wielki ciąg, bez żadnych przerw ani punktów zwrotnych. Teraz, gdy czytam zapis działań operacyjnych bezpieki, przeszłość odradza się jak żywa. Znow ją dostrzegam przez każde zdarzenie oddzielnie. Notuję w pamięci, kiedy oni zaczynają planować operację. A więc już w czerwcu skoordynowali plany. Wtedy też, przynajmniej w teczkach "O", pojawia się "Warszawski". Meldunek zaczyna się najprościej: *Po południu czwartego czerwca spotkałem Wojciecha Ziemińskiego...*

"Warszawski" - Marian B. , wieloletni agent wpływu SB, pracujący za wynagrodzeniem 2 tys. zł. miesięcznie, a jako działacz społeczny kierujący Towarzystwem Walki z Kalectwem - znał Ziemińskiego od dawna. Na podstawie teczek, znajdujących się w aktach sądowych nie jestem w stanie ustalić, kiedy rozpoczął rozpracowywać Wojtkę. Ponieważ prowadził go kpt. G-ski z sekcji IV, musiał być wykorzystywany do inwigilacji "lewicy laickiej", a przynajmniej środowisk wywodzących się z dawnego Klubu Krzywego Koła; z dostępnych mi akt nie wynika jednak, aby znał kogoś poza Ziemińskim. W każdym razie Wojtek w maju 1977 r. zwrócił się do niego o podpis pod wnioskiem o interpelację poselską w sprawie bezprawnego uwięzienia działacza KOR, jaki przygotował Ruch Obrony. "Warszawski" apel podpisał, ale w swym meldunku do SB skarży się, że ujawnianie jego nazwiska w takich przedsięwzięciach politycznych nie jest wskazane, bo może doprowadzić do demaskacji. Skarga dała skutek, bo bezpieka stanęła na głowie i zaraz potem przechwyciła listę z dobrą setką podpisów.

Pierwszym zadaniem, jakie otrzymał "Warszawski", było przejęcie kontroli nad technicznym wydawaniem "Opinii". Za połowę druku warszawskich edycji pisma odpowiadał Ziemiński. Otrzymywał on ode mnie jeden egzemplarz-matkę, który - jak dowiedziałem się znacznie później - przepisywała mu na maszynie w dziesięciu egzemplarzach p. Ania R.; rozsyłane one były następnie do różnych powielarni. "Warszawski" wszystko to odkrył bez większego trudu (jakby wynikało z akt, jeszcze przed 4 czerwca), a ppłk Mj w odręcznie pisanych wytycznych ustalił dalsze zadania agenta. Panią Anię trzeba pozyskać albo zneutralizować, a przepisywanie "Opinii" ma przejąć "Warszawski" - zarządził. Dzielnej starszej pani, która w działaniach konspiracyjnych uczestniczyła od 1939 r. i płaciła za to m. in. pobytem w komunistycznym więzieniu - pozyskać oczywiście nie było można, zastraszyć także nie. Gdy jednak bezpieka zastosowała manifestacyjną blokadę, dalsze przepisywanie "Opinii" groziło w każdej chwili wpadką. Wtedy pomoc zaproponował "Warszawski". Na początek zaofiarował się przepisać dziesięć stron, później pół numeru, wreszcie - od początków września - Ziemiński przekazywał mu egzemplarz-matkę, a agent po jakimś czasie zwracał dziesięć egzemplarzy. Nie przepisywał ich oczywiście sam. Ppłk Mj zarządził, aby "Opinię" przepisywano "siłami sekcji IV". W ten sposób SB od początków września jako jedno z pierwszych miało bezpośredni dostęp do treści każdego numeru, a także uzyskało możliwość utrudniania i opóźniania druku części nakładu powielanego w Warszawie. Nim przepisane egzemplarze wracały do Ziemińskiego, poddawano je merytorycznej i politycznej analizie. Nie czyniono tego sobie a muzom. Niezależnie od faktu, że wcześniej nim mógł zacząć się na dobre kolportaż "Opinii" w reżimowej prasie rozpoczynano kampanię propagandową podważającą jakies nasze tezy - owe "analizy" posłużyły do uzasadnienia krytyki zawartości "Opinii" wewnątrz Ruchu

Obrony. Treści do podania przygotowywano szybko i przekazywano agencji. Podczas Pierwszego Spotkania Ogólnokrajowego ROPCiO, jakie odbyło się 16-17 września w prowadzonym przez siostry zakonne Domu Starców na Solcu ze zdziwieniem zauważyłem, jak niektórzy nagle zaczęli oceniać, że świeżo wydany numer "Opinii" jest zbyt ostry, a ponadto zbyt obszerny. Sugerowano, że należy ograniczyć tematykę polityczną, a na to miejsce wprowadzić więcej historii, nie tylko tej nowszej, lecz przypominającej wielkie powstania narodowe XIX w., konfederację barską, a nawet potop szwedzki. Z krytyką taką wystąpił m. in. Ziemiński. Byłem wówczas przekonany, że Wojtek sam przepisuje "Opinię" - i powiedziałem mu, że jeśli nie daje rady (numer sierpniowy miał 50 stron gęstego maszynopisu, wrześniowy jeszcze więcej) zorganizuję mu jakąś pomoc; wyglądał na urażonego i odparł, że sam to załatwi. W Spotkaniu brał udział Marian B. - miły i cichy starszy pan, ale - o ile pamiętam, nie zabierał głosu albo mówił coś zupełnie niekontrowersyjnego; na pewno nic nie krytykował.

Polecenia ppłk Mj szły jednak dalej. Teraz z zadumą mogę odczytywać nabazgrane polecenie na marginesie maszynopisu planu, sporządzonego 5 września 1977 r. przez ppor. O. Szeff wydziału III zarządził, aby do przepisywanej "Opinii" wprowadzać notatki atakujące graczy - czyli KOR. Mogli to czynić całkowicie bezpiecznie. W sekcji IV przepisywano więcej niż owe dziesięć egzemplarzy, które "Warszawski" oddawał Ziemińskiemu. W jednym z egzemplarzy wystarczało coś usunąć, a na to miejsce wpisać jakiś krótki paszkwil przeciw KORowi. W naszych powielarniach nikt nie czytał tekstu, bo trzeba go było jak najszybciej powielić; безпеka mogła też wydać własną edycję i rozkolportować w środowiskach związanych z KOR wcześniej, niż nasz nakład będzie gotowy. Rzeczywiście, przypominam sobie, że parę razy interweniowali u mnie poważni ludzie, których zaalarmowano, że w "Opinii" ukazują się jakieś straszne teksty. Za każdym razem sprawę łatwo - jak nam się wydawało - wyjaśnialiśmy; wyciągałem inkryminowany numer i wspólnie stwierdzaliśmy, że nic takiego w nim nie było. Bo rzeczywiście nie było. Różnymi drogami kilkanaście egzemplarzy każdego numeru "Opinii" przetrzymaliśmy do Londynu, gdzie wkrótce wydano ich zbiorową reedycję. Uczestniczył w tym Eugeniusz Smolar, może najważniejszy nieformalny przedstawiciel KOR w Londynie; gdyby w "Opinii" były rzeczywiście ataki na KOR, na pewno nie wspierałby tej inicjatywy. Po drugiej czy trzeciej interwencji byłem już pewny, że krążą jakieś fałszywki, ale sądziłem, że безпеka przygotowuje je dopiero po zdobyciu kolportowanego przez nas egzemplarza (z teczek "O" wynika, że początkowo mieli wielkie trudności, a pierwsze numery "Opinii" zdobywali ze znacznym opóźnieniem).

Do jesieni 1977 r. "Warszawski" stał się głównym agentem SB w ROPCiO. Wcześniej jeszcze równie groźną rolę w NN zaczął spełniać "Jan Lewandowski" - Paweł M. Prowadził go ppłk Rs, szef wydziału II departamentu III MSW. Początkowo "Lewandowski" używany był do rozpracowywania "komandosów", ale z czasem zbliżył się bardzo do Andrzeja Czumy. Zaufanie zaskarbiał sobie, organizując wieloraką pomoc techniczną (również dla prywatno-domowych prac Andrzeja), a także udzielając doskonałego lokalu kontaktowego w samym centrum Warszawy. "Lewandowski" pracował w SPATiF, a komórka pośrednictwa pracy dla aktorów którą prowadził miała lokal z niekrępującym wejściem od ul. Mokotowskiej oraz z możliwością przejścia do Alej Ujazdowskich a nawet - podobno - Wilczej. Przychodzili tam liczni aktorzy, co - jak Paweł M. zapewniał Czumę - pozwalało w tłoku gubić naszych ludzi.

Poznałem "Lewandowskiego" w początkach lutego 1977 r. na jakiejś nieoświetlonej uliczce, bocznej od Obozowej. Organizowaliśmy wtedy zjazd NN w domu mojej matki (nota bene znajdującym się w Ostoi Pęcickiej, pomiędzy Komorowem a Pruszkowem - paręset metrów od innej willi, w której aresztowano Okulickiego). Czuma zaproponował, aby wcześniej wysłać tam "kucharza" - człowieka, który przygotowuje posiłki dla kilkadziesiątu osób, a także pomieszczenia, w których będziemy obradować. Zgodziłem się na to, aby odciążyć starszą schorowaną kobietę, samotnie mieszkającą w dużym domu. Wiedziałem, że względy bezpieczeństwa zostaną zapewnione najbardziej profesjonalnie. Moja ś.p. Matka była konspiratorką prawie od urodzenia:

jako kilkunastomiesięczne dziecko służyła mojej Babci - członkini Organizacji Bojowej PPS - do przenoszenia między pieluchami najpierw ulotek, a z czasem browningów; jako młoda dziewczyna była łączniczką POW między okupacją niemiecką a austriacką; jako dojrzała kobieta - żołnierzem AK, m. in. kierownikiem komórki kontrwywiadu w newralgicznym punkcie styku okręgów łódzkiego i kieleckiego AK; po wojnie prowadziła placówkę przerzutową w Sopocie, przez którą udało się ewakuować sporo spalonych osób. Teraz sama wyznaczyła przypadkowe miejsce w którym przejmie "kucharza". Okazał się nim młody cichy chłopak, który nie zdziwił się, że z Koła pojechaliśmy wprost w stronę Kampinosu, ale wyraźnie stracił orientację, gdy stamtąd odbyliśmy prawdziwy slalom bocznymi drogami, parokrotnie przecinając różne tory kolejowe i odwiedzając kolejne podłe osiedla, aby wreszcie zatrzymać się w jednym z nich, na nieoświetlonej ulicy przed nieoświetlonym domem. W tym budynku "Lewandowski" spędził parę najbliższych dni bez kontaktu ze światem zewnętrznym. Nie wiedział nawet, czy moja matka rzeczywiście tutaj mieszka, bo parę wystawionych zdjęć i pamiątek mogło sugerować, że jest to mieszkanie m. in. "Szarego" (Antoniego Hedy, legendarnego partyzanta z Kieleckiego, którego dom znajdował się niespełna dziesięć kilometrów dalej). Nie wiedział, w jakiej jest miejscowości; usiłował wyjść na zewnątrz, gdy mu zabrakło papierosów, ale Matka była na to przygotowana i zaopatrzyła się w wystarczający zapas. Agent szybko zorientował się w niebezpieczeństwie i przestał pytać o cokolwiek. Mimo paru dni rozmów, Matka nie była w stanie ocenić go jednoznacznie: albo szczwany, dobrze przeszkolony bezpieczniak, albo chłopak słabo zorientowany w sprawach organizacji, znający jedynie dobrze domowe sprawy Czumów, a bardziej wprowadzony w działania KOR z racji znajomości pewnej działającej tam dziewczyny. Czuma uwiarygadniał raczej tę drugą ewentualność, gdyż przedstawiał "kucharza" jako prywatnego znajomego i zastrzegał nawet, że w obradach nie powinien brać udziału. Zjazd NN, jak pisałem wyżej, nie doszedł do skutku, a "Lewandowski" mógł poznać z twarzy tylko kilka osób, którym udało się przedostać przez blokadę. Wywiozłem go późnym wieczorem, również okólną drogą. Teraz przeglądając teczki mogę ocenić, że środki bezpieczeństwa okazały się wystarczające; bezpieka wiedziała, że lokal zapewniła moja matka, ale dopiero po paru miesiącach ustalono, w którym budynku zjazd miał się odbyć.

W następnych miesiącach "Lewandowski" wciskał się coraz bardziej w bezpośrednie otoczenie Czumy. Już w lutym musiał go dobrze obstawiać, skoro był w stanie ustalić miejsca zbiórek delegatów na zjazd NN i samochody, którymi miano ich przewieźć. Zażyłość Pawła M. z Andrzejem dość długo była trudna do zauważenia, bo agent unikał pokazywania się z Czumą. Stał się jednak częstym gościem w jego domu przy ul. Jagny we Włochach. Pomagał w czym było trzeba, także w jakimś remoncie. Co gorsza, Czuma nie ujawnił, że liczne doraźne zadania, które chętnie brał na siebie, zlecał do wykonania Pawłowi M. Bardzo szybko agent stał się głównym kurierem Czumy do niektórych pozawarszawskich ośrodków NN. Mściła się moja nierozważna decyzja, aby na jakiś czas wstrzymać się z kontrwywiadowczym zabezpieczeniem NN. Organizację tworzyliśmy z różnych środowisk, z których każde było jakoś nieufne wobec innych - przecież dotychczas bliżej nieznanymi; zresztą takie obawy całkowicie usprawiedliwiała sytuacja. Zastosowanie bezpośrednich technik kontrwywiadowczych, bo tylko one wchodziły w grę, wydawało się niewskazane. Tego typu działania są nie do ukrycia, a w następstwie jakiejś niezręczności groziły poważne zakłócenia integracji wewnętrznej. Dlatego osłone kontrwywiadowczą zdecydowałem się zastosować później, a do tego czasu wstrzymałem się tylko z wprowadzaniem do NN grup nn (w Warszawie, Wrocławiu czy Poznaniu weszły pojedyncze osoby, choć na przykład w Krakowie z braku ludzi NN powstało niemal całkowicie w oparciu o nn). W każdym razie przyjąłem zasadę, że na razie sprawami bezpieczeństwa i samoobrony NN miało zajmować się każde ze środowisk oddzielnie. W okresie 1976-77 tylko pojedyncze osoby z Gdańska, Krakowa i Lublina przeszkolił na dwutygodniowych, zamkniętych kursach indywidualnych rtm. Zygmunt Augustowski (od 1935 r. w SRI DOK III prowadził komórkę kontrwywiadu, później był "Wachlarz", wywiad AK i WiN, 1 maja 1946 z aresztu UB w Sopocie rotmistrza uwolnił samotny "Łupaszko"). Obserwując poszczególne grupy, mogłem przekonać się, że z samoobroną dobrze radzi sobie grupa gdańska, zdolna do wnikliwej i głębszej analizy wpadki

(mieli taką przy przerzuceniu powielacza przez granicę). Nadmiernie optymistycznie przypuszczałem, że również grupa Czuma (dawny "Ruch", czy raczej "Wspólnota"), mająca za sobą okres konspiracji, rozbicia przez SB oraz - jak zakładałem mylnie - analizy przyczyn wpadki, sama zapewnia sobie bezpieczeństwo. Myliłem się, a obraz jaki przedstawia w swoich raportach "Lewandowski" jest bardzo zły. Choć połączona z nieufnością, niefrasobliwość była ogromna. Czuma nawet nie zainteresował się, skąd Paweł M. ma pieniądze na liczne wyjazdy i co powoduje, że przez kilka dni pod rząd może nie zjawiać się w pracy. Początkowo Andrzej ograniczał się do najbardziej prymitywnych zabezpieczeń: np. wysyłając materiały do grupy NN w Szczecinie, instruował: przekaż Hubertowi (starszy brat Andrzeja, jezuita) dla Wieśka. Na marginesie raportu "Lewandowskiego" ktoś dopisał: figurant wydz. IV, Wiesław Parchimowicz. Z czasem Andrzej podawał rzeczywiste nazwiska i adresy, co umożliwiło bezpieczeństwo ujawnić ludzi wcześniej nie rozpoznanych (np. w Poznaniu szefa NN).

W lokalu przy Mokotowskiej Paweł M. zapewnił Czumie doskonały - jak się wydawało - punkt kontaktowy. Pozwoliło to "Lewandowskiemu" poszerzyć zakres swych działań. Na prawdę dobrze znał on tylko jedno środowisko: "Wspólnotę" - i to wyłącznie grupy warszawską i łódzką. Nie wiem od kiedy je inwigilował, ale zaczął to czynić znacznie wcześniej, niż powstał Ruch Obrony. Taki punkt obserwacji był zresztą przyczyną, że obszerne i szczegółowe meldunki "Lewandowskiego", często przybierające postać zbiorczych opracowań, błędnie obrazowały rzeczywisty NN i jego strukturę. Agent widział ją wyłącznie przez pryzmat "Wspólnoty". Dopiero latem i jesienią 1977 r. uzyskał dostęp do innych grup, ale bardziej bliski rzeczywistości pogląd na funkcjonowanie NN wyrobił sobie późno, bo w 1978 r. Szefem NN w Warszawie był Janek Dworak, który wcześniej - wraz z Piotrem Krawczykiem - stworzył zróżnicowaną wewnątrz grupę tzw. seminarium historycznego, złożoną z młodych ludzi; rodzice niektórych z nich pracowali w Instytucie Wydawniczym i przedsiębiorstwach należących do PAX. Czuma, który w ramach podziału pracy w ROMBie przejął - raczej formalnie niż faktycznie - sprawy organizacyjne, skontaktował Pawła M. z Dworakiem; agent dzięki temu nawiązał bezpośrednie kontakty z niektórymi osobami z jego grupy. Aby wejść głębiej, starał się nawiązywać stosunki bardziej osobiste, odwiedzać w domach itp. Pozwoliło mu to trafić na ślad NN, choć nie zdawał sobie z tego sprawy. W mieszkaniu Dworaka napotkał kiedyś jakiegoś Romualda (ustalenie nazwiska Szeremietiew zajęło mu ze dwa miesiące) i zorientował się, że chodzi o głębszą konspirację. Mylnie ocenił, że jest to drugie dno PAX (gdzie pracował zarówno Szeremietiew, jak ojciec Janka), ale trafnie zauważył, że jest to struktura istotniejsza niż NN, traktująca ROPCiO jako narzędzie szerzej określonych planów politycznych. Wysoko ocenił możliwości tej głęboko utajnionej organizacji, także finansowe: raportował (mylnie), że Dworak kupił samochód za pieniądze organizacyjne, przekazane przez Romualda.

"Lewandowski" działał nie tylko w Warszawie. Również dzięki Czumie uzyskał dojścia do NN w Łodzi (głównie "Wspólnota"), Szczecinie i Gdańsku, a także kontakty z paroma osobami, znajdującymi się na obrzeżach NN (Poznań, Lublin, Śląsk). Ponieważ był kurierem Andrzeja, nie przeniknął tam, gdzie Czuma nie miał własnych kontaktów. W zasadzie miał więc dotarcie tylko do "Wspólnoty" oraz niektórych grup duszpasterstwa akademickiego. W Gdańsku, gdzie miejscowe środowisko było bardzo zwarte i rozważne, Paweł M. bardzo długo zabiegał, aby stworzyć sobie dobrą opinię człowieka, który zawsze stara się pomóc. Udało mu się to w poważnym stopniu, ale nie na tyle, aby przeniknąć do wewnątrz, a przynajmniej uzyskiwać jakieś istotne informacje. Względnie długo "Lewandowski" penetrował tylko NN, wyraźnie wstrzymując się od ujawniania w Ruchu Obrony; zmieniło się to wiosną 1978 r. na fali nowych wydarzeń.

Chodziło nie tylko o penetrację. Od samego początku starał się sypać nam piasek w tryby. Czuma wcześniej, chyba jeszcze od jesieni 1976 r. zaczął wykorzystywać go do przewożenia matryc albo powielonych już stron części numeru "U Progu". "Lewandowski" nie tylko ujawniał te przesyłki bezpieczeństwu, ale również przytrzymywał powierzone mu materiały, aby opóźnić lub storpedować

proces wydawniczy; w niektórych przypadkach ryzykował nawet oczywiste "pomyłki": np. kilkaset pojedynczych stron, jakie miał dostarczyć do Łodzi, gdzie kompletowano numer - zawiózł do Szczecina. Podobny sabotaż stosował przy wydawnictwach Ruchu Obrony; w przypadku "Opinii" było to mniej groźne, gdyż powielana ona była w tylu miejscach, że opóźnienie pracy w jednym nie wpływało na całość. Gorzej było z innymi tytułami. Całe partie "U Progu", często idące w setki egzemplarzy, albo co najmniej obszerne fragmenty powielonego numeru (co uniemożliwiało jego skompletowanie) przekazywał wprost bezpiece; to samo czynił z archiwalnymi matrycami dokumentów i ulotek Ruchu Obrony, przekazywanych mu "do schowania" przez Czumę. Przez kontakty NN trafił do Zakładu w Laskach, gdzie pracowała świetna grupa, powielająca jedną z edycji "Opinii". Prowadzili ją Stanisław Kusiński i Lech Jęczmyk; Pawłowi M. potrzeba było kilku tygodni, aby zantagonizować obu przemysłnymi intrygami, wspieranymi działaniami SB - i doprowadzić do dezintegracji całego zespołu.

Zdobywanie informacji i sabotaż nie były najgroźniejszą stroną "Lewandowskiego". Oceniając po latach, z aktami SB przed sobą, widzę że Paweł M. był lepszym agentem operacyjnym, niż jego raporty. Potrafił wtapiać się w środowiska, drażnić głęboko, docierać do ludzi skądinąd niechętnych zawieraniu nowych znajomości, zdobywać zaufanie, służyć radami. Był bardzo ostrożny: nie pytał, tylko patrzył i słuchał. Chętny do każdej pracy, nie narzucał się jednak. Nie brakowało mu uporu i cierpliwości. Mimo bliskich kontaktów z Czumą, dobre pół roku zajęło mu, nim ostrożnie rozpoznał istnienie ROMBu, a dalszy rok nim poznał jego skład, terminy posiedzeń i ich miejsca. Andrzej miał na tyle instynktu samozachowawczego, że choć z czasem zaczął opowiadać "Lewandowskiemu" przebieg ROMBu, a nawet radzić się jakie stanowisko powinien tam zajmować - to nie mówił o czasie i miejscu posiedzenia. Działały również rutynowe zasady bezpieczeństwa. Posiedzenia ROMBu organizowałem początkowo ja albo Maciek Grzywaczewski (z dobrej szkoły gdańskiej); później, gdy skład się zmienił, zajmował się tym niezły konspirator - Adam Wojciechowski albo Marian Gołębiowski - cichociemny, który od 1941 r. nieprzerwanie tkwił w konspiracji - nawet jeśli przebywał w więzieniu.

Najpierw ROMB zbierał się w Klubie TKKF "Horyzont" na Cyplu Czerniakowskim w Warszawie. Byłem tam od dawna kierownikiem żeglarstwa morskiego, a jeszcze na przełomie 1975/76 do Zarządu wciągnąłem Dworaka; z Grzywaczewskim ciągle omawialiśmy sprawy remontu jakiegoś jachtu (ojciec Maćka jest konstruktorem okrętowym). Wystarczyło, że przyszedł Czuma i - jeśli na przystani byli jacyś ludzie - zaszywaliśmy się z dala od nich, w ustronnym kącie, rozpoczynając posiedzenie ROMBu. Pod koniec 1976 r., gdy obserwacja bezpieczeństwa zaczęła się widomie zagęszczać, zmieniliśmy system na wypracowany niegdyś w szczegółach przez WiN. Z grubsza polegało to na tym, że datę następnego spotkania ustalaliśmy na poprzednim, a człowiek przygotowujący lokal podawał adres w ostatniej chwili. Prawie do końca rygorystycznie przestrzegaliśmy zasady, że w danym mieszkaniu spotykamy się tylko raz. Chodziło o to, że jeśli namierzy nas bezpieka i nawet założy podsłuch, będzie to działanie całkowicie jałowe, bo spóźnione. Czytając teczkę "O", widzę, że ta zasada, którą nasi poprzednicy z WiN i SNN opracowali po drobiazgowej analizie możliwości bezpieczeństwa, znacznie przecież większych niż kiedykolwiek miało Gestapo - nie była przesadną ostrożnością. Prowadzący "Lewandowskiego" oficerowie domagali się, aby nareszcie odkrył miejsce posiedzeń ROMBu, co pozwoli założyć tam podsłuch PP. Dopiero wiosną 1978 r. Paweł M. ustalił, błędnie zresztą, że ROMB zbiera się w każdy wtorek; w rzeczywistości spotykaliśmy się dwa-cztery razy w miesiącu, ale w różnych dniach tygodnia. Adresy poznał już po rozwiązaniu ROMBu.

Wszystkie powyższe działania "Lewandowskiego" były groźne, ale naprawdę niebezpieczny stał się on jako agent wpływu. Stopniowo umacniając zaufanie, w końcu lata 1977 r. Paweł M. osiągnął pozycję głównego powiernika Czumy. Rzecz tym bardziej charakterystyczna, że Andrzej był z natury człowiekiem skrytym, chociaż nieufnym najczęściej wobec ludzi, którzy teoretycznie mogli zagrozić jego pozycji w grupie. Jednak Paweł M. akcentował brak ambicji przywódczych, chciał

być tylko użytecznym pomocnikiem. I stał się nim. Nawet, jeśli jego przechwałki zamieszczone w raportach dla bezpieki podzielić przez cztery, to fakt stopniowego uzależniania Czuma jest niezaprzeczalny. Nieprawdziwe były opowieści "Lewandowskiego", że kieruje najsilniejszą grupą w warszawskiej strukturze NN (do swoich "podkomendnych" zaliczył m. in. Grzywaczewskiego - nie wiedząc, że to członek ROMB!), ale łatwo potwierdzić coraz szerszy wpływ, jaki wywierał na poczynania Andrzeja. Raporty Pawła M. zapowiadają, co uczyni Czuma - i zapowiadają trafnie. Tylko trochę wyprzedzają fakty. W meldunku z września 1977 r. "Lewandowski" relacjonuje rozmowę z Andrzejem, w którym ten ostatni zapowiada, że doprowadzi do rozłamu w NN i ROPCiO; zdaniem agenta jest już na to całkowicie zdecydowany. Oceniając po latach, w oparciu o znajomość bardzo wielu materiałów - myślę, że w tym czasie Czuma zdecydowany jeszcze nie był, a jedynie rozważał sugerowaną mu przez Pawła M. (czy tylko?) możliwość. Jest to charakterystyczny przykład metody stosowanej przez bezpiekę: dyskretnie podsunąć jakiś pomysł, a gdy zacznie dojrzywać i zostanie uznany przez figuranta za własny, być gotowym do udzielenia potwierdzającej rady. Zresztą Czuma zasięgał opinii jeszcze paru innych zaufanych osób. Nie wiem ilu ich było, ale chyba nie więcej niż sześcioro - i na pewno nie wszyscy byli agentami. Jakby wynikało z akt, obok "Lewandowskiego" wtykami bezpieki w bezpośrednim otoczeniu Czuma były jeszcze tylko dwie inne osoby ze starego składu "Wspólnoty", wprowadzone do NN; jeden z nich posługiwał się pseudonimem "Stanisław Wysocki", drugi - z Łodzi - bliżej nieznanym; nie wiem, czy obu można zaliczyć do tej szóstki najbardziej zaufanych. W aktach sprawy nie mam niestety teczek SB wytwarzanych w Łodzi, a tylko warszawskie. Dzięki znajdującym się w nich materiałom MSW można uzyskać szersze spojrzenie - ale dość ogólne, jeszcze nie wystarczające aby bliżej identyfikować tych agentów, których meldunki (bądź ich omówienie) pojawiają się tylko okazjonalnie. Jedno nie budzi wątpliwości: w Warszawie głównym narzędziem kombinacji operacyjnej przeciwko ROPCiO był w Marian B., a przeciwko NN, a później także ROPCiO - Paweł M. Pozostali agenci wokół Andrzeja mieli zadania wspomagające: wstępnie urabiali Czumę, przygotowując grunt dla rad "Lewandowskiego. Często były to rady jasnowidza - wedle słów samego Czuma. Pierwszą z takich wielkich rad była sugestia Pawła M., aby określając sposób podejmowania decyzji przez ROMB, przyjąć zasadę consensusu. Została ona zaakceptowana przez zjazd NN tym łatwiej, że względnie długo jednomyślnie uzyskiwaliśmy bez najmniejszego trudu.

Schody zaczęły się we wrześniu czy początkach października. Czuma zaczął podważać dotychczasową zasadę, że prawie całą działalność polityczną prowadzi Ruch Obrony, a NN stanowi przede wszystkim jego bazę techniczną (Janek Dworak popularyzował nawet nazwę: Techniczny NN). Choć Andrzej nie był w stanie postulować tego wprost, dążył do ograniczenia jawnej działalności i przeniesienia ciężaru prac do podziemia. Znajdował uzasadnienie niby to moralne: występując na zewnątrz, siłą rzeczy uznajemy istnienie PRL; schodząc do głębokiej konspiracji, unikamy skażenia. Celem działania powinno być formowanie człowieka, a nie wdawanie się w rozgrywki polityczne - zdaniem Andrzeja z natury brudne. Nie potrafił jednak zaproponować jakichkolwiek konkretnych form aktywności. Sam zresztą zdawał sobie sprawę z absurdalności tezy, że można prowadzić walkę o niepodległość z komuną, kryjąc się głęboko i powstrzymując od jakiegokolwiek działalności. Paweł M. raportował jednak, że z powodzeniem umacnia pragnienie Czuma aby jawną działalność zastąpić tajną. Dążenie SB - odczytane wedle zapisu "Lewandowskiego" - było proste: głęboko zakonspirowana organizacja, skupiająca się na dyskusjach wewnętrznych, w danej sytuacji nie jest groźna; gdyby zdecydowała się na jakąś bezpośrednią akcję, tkwiący w niej agent umożliwi demaskację i rozbitcie całej grupy. Był to wzorzec, z powodzeniem wykorzystany w 1970 r. dla likwidacji ówczesnej "Wspólnoty" ("Ruchu"). W warunkach, gdy ze względów politycznych jawne represje nie były wskazane - a więc w całym okresie jesień 1956 - grudzień 1981 - wobec osób o nieprawomyślnych przekonaniach stosowano z zasady prostą taktykę zastraszania: mogą sobie hołubić najbardziej nawet antyradzieckie i antykomunistyczne przekonania, byle się z tym nie wychylali na zewnątrz; jeśli ta swoista polityczna poprawność będzie zachowana, to w domowym kółku, a nawet na rodzinnych imieninach można podkreślać, jakim jest się wrogiem systemu.

Różnice zdań na temat jawności-tajności miały skutki praktyczne. Rychło doszło do sporu w całkiem konkretnej sprawie. Z początkiem 1978 r. miały odbyć się wybory do rad narodowych - pozorowanej namiastki samorządu terytorialnego. Od dawna uważaliśmy, że będzie to doskonała okazja do publicznego wystąpienia Ruchu Obrony jako opozycyjnej inicjatywy obywatelskiej. Adam Wojciechowski opracował wstępny plan zgłoszenia przez ROPCiO kandydatów na radnych w pięciu starannie wybranych gminach, gdzie cieszyliśmy się już znacznymi wpływami. Przykładowo, w gminie Milejów w lubelskim Janusz Rożek - jak wykazała nieodległa przyszłość, potrafił nie tylko zorganizować Komitet Samoobrony Chłopskiej, ale przeprowadzić w 1978 r. wielomiesięczny skuteczny bojkot, w którym uczestniczyły całe wsie. Podobną sytuację mieliśmy w paru innych gminach czy miasteczkach, zwłaszcza w dawnych partyzanckich okolicach (Heniek Bąk, który wraz z Markiem Skuzą od wiosny 1977 r. organizował przy ROPCiO związek byłych więźniów politycznych, opanował już politycznie swoją rodzinną gminę w radomskim). Niespodziewanie, na posiedzeniu ROMBu stanowcze veto zgłosił Czuma. - Nie możemy uczestniczyć w komunistycznym kłamstwie i uwiarygadniać fałszywych wyborów - uzasadniał. Nie trafiały do niego argumenty, że zgłaszając własnych kandydatów - demaskujemy komunistyczne kłamstwo.

Przebieg posiedzenia ROMBu w oparciu o słowa Andrzeja prawdziwie przedstawia raport "Lewandowskiego". Wniosek Wojciechowskiego całkowicie poparł Moczulski, a generalnie akceptował Dworak. Aby uniknąć przegłosowania, Czuma powołał się na zasadę jedności i zażądał omówienia sprawy na zebraniu szefów wszystkich struktur regionalnych NN ("Lewandowski" używa za Czumą terminu "dzielnice", którym posługiwano się we "Wspólnocie", ale nie został przeniesiony do NN; natomiast w nn używaliśmy tradycyjnie określeń "obszary" i "okręgi"). Rzeczywiście, taka narada została zorganizowana pod koniec listopada. Andrzej zobowiązał się zapewnić odpowiedni lokal, a mianowicie jakieś pomieszczenie w klasztorze Jezuitów przy ul. Rakowieckiej w Warszawie. Pomysł ten "Lewandowski" szybko przekazał do MSW ze skutkami, których można się łatwo domyślić. Gdy w ostatniej chwili zabrakło lokalu - nieoceniony Paweł M. zaproponował skorzystanie z sali konferencyjnej SPATiF. Kilkogodzinna narada odbyła się w luksusowych warunkach i bez żadnych zakłóceń - tyle tylko, że nie wszyscy, którzy powinni byli tam się znaleźć, dotarli na miejsce. Niektórych zatrzymano po drodze. Przybyło natomiast sporo osób, które wprawdzie nie kierowały żadną strukturą NN, ale były blisko związane z Andrzejem lub też zostały wprowadzone przez Pawła M. (jakieś dwie bliżej nieznane jego znajome, być może identyczne z dziewczynami, które w jednym ze sprawozdań wymienia z imienia i nazwiska jako członkinie jego grupy). Gdy już zebraliśmy się na sali, próba wyproszenia osób nie należących do tego statutowego grona groziła rozbiciem całej narady.

W tezkach SB znajduje się parę meldunków z przebiegu spotkania. Znowu są one generalnie zgodne z prawdą. Narada została zdominowana przez jeden temat: czy wysunąć niezależnych kandydatów przeciwko kandydatom Frontu Jedności Narodu? Sprowadziło się to do polemiki pomiędzy Czumą a Moczulskim, z sali zabrakło głosu tylko parę osób. Ostatecznie projekt odrzucono małą większością głosów. Sprawozdania bezpieki nie kryją satysfakcji: groźny dla totalitarnej władzy projekt został pogrzebany. Powodów do zadowolenia SB miała jednak więcej: okazało się, że podziemna struktura może być skutecznie manipulowana, oraz - co może najcenniejsze - ujawniony został głęboki konflikt pomiędzy obu rzecznikami ROPCiO.

Zdawałem sobie doskonale sprawę ze źródeł tego konfliktu, w lawinowym tempie narastającego jesienią i zimą 1977 r. Pasował do ostrzeżeń, choć sam fakt jego narastania i spowodowane tym zamieszanie niesłychanie utrudniały wykrycie źródła bezpieczniackiej inspiracji. W owym czasie dopływały informacje z głębokiego wywiadu, dotyczące zwłaszcza ocen i zamiarów władz centralnych przy niedostatku ostrzeżeń kontrwywiadu, zdolnego dotrzeć do niskiego szczebla SB i kierowanej przezeń agentury. Co gorsza, nie tylko brakowało czasu na organizację płytkiego

wywiadu, nastawionego na ochronę ROPCiO, ale działały pewne względy zasadnicze. Uważałem, że najpierw trzeba rozładować, a przynajmniej załagodzić spory, aby następnie wspólnie zapewnić bezpieczeństwo wewnętrzne. Specyficzne metody kontrwywiadu mogły dać odwrotne skutki.

Początkowo zakładałem, że agentura działa przez łańcuszek pośredników i do nikogo ważnego nie dotarła bezpośrednio; źródeł sporu szukałem przede wszystkim w urażonej ambicji Andrzeja, a także w mojej nadmiernej łatwości podejmowania decyzji bez konsultowania ich z kimkolwiek. Trudno było nie dostrzec, że jeśli wcześniej pozycje przywódcze moje i Czumy w NN były mniej więcej zrównane, to od momentu ujawnienia Ruchu Obrony stan ten zaczął się szybko zmieniać. Wprawdzie nazwisko Andrzeja Czumy, jako jednego z dwu rzeczników pojawiała się parę razy w miesiącu w podpisie kolejnych dokumentów ROPCiO, ale Andrzej nie był wnioskodawcą chyba ani jednego z nich (inicjatorami byli na ogół Adam Wojciechowski, Wojtek Ziemiński - no i ja). Co gorsza, zarówno wewnątrz ROPCiO jak wewnątrz NN Czuma nie miał wiele do zaproponowania, a jeśli nawet zgłaszał projekt jakiejś akcji, nie było to przyjmowane zbyt entuzjastycznie. We wrześniu, na Ogólnokrajowym Spotkaniu Ruchu Obrony początkowo próbował coś przedstawiać, ale szybko zrezygnował. Trochę później, na jakimś spotkaniu w Łodzi proponował, aby jedną z głównych osi działania ROPCiO stało się propagowanie kanonizacji Romualda Traugutta, ale spotkało się to całkowitym niezrozumieniem ludzi wiodących w tamtym środowisku, zwłaszcza Karola Głogowskiego. Ponieważ sprawami organizacyjnymi Czuma zajmował się tylko okazjonalnie, prawie całą swoją aktywność koncentrował na licznych rozmowach propagujących skądinąd niewątpliwą potrzebę moralnego formowania Polaków. Nawet jednak na to brakowało mu czasu, gdyż musiał podołać znacznym obowiązkom zawodowym jako radca prawny PKP (przynajmniej do kwietnia 1978 r., kiedy usunięto go z pracy), a także licznym obciążeniom domowym. Ja byłem w nieporównanie lepszej sytuacji; nie pracowałem zawodowo, nie miałem żadnych obowiązków domowych; jeśli pilnie musiałem jechać w teren, a w kasie były pustki - pieniądze na benzynę organizowała Majka.

Starałem się stworzyć możliwości, które pozwoliłyby Czumie zabłysnąć - i to z pożytkiem dla Ruchu Obrony, który przecież tak bardzo potrzebował wybitnej osobowości, niewątpliwych zalet charakteru i determinacji Andrzeja. Najpierw, zgodnie z jego sugestiami, chciałem oddać mu całość spraw organizacyjnych - wraz z przygotowaniem powołania partii politycznej. Gdy obciążenia czasowe nie bardzo mu na to pozwalały, sugerowałem współdziałanie w redagowaniu powstającej "Opinii" a także stałe pisanie artykułów czy broszur. Czuma zgodził się, ale nic z tego nie wyszło. Odbierałem, że budowa struktur czy dziennikarstwo nie bardzo go satysfakcjonuje i woli zająć się bezpośrednio polityką. W ramach szerszej koncepcji wykształcenia czterech załączkowych struktur polityczno-partyjnych zaproponowałem Andrzejowi, aby stanął formalnie na czele formacji niepodległościowej. Zgodził się - i w tym charakterze napisał artykuł do grudniowej "Opinii" (bardziej o budowie duchowej człowieka niż niezbędności niepodległego państwa), a także wystąpił na konferencji prasowej. Był to jednak już ostatni wspólny projekt, w którym uczestniczył. Od tej pory wszystkie propozycje przyjmował wrogo: jako próby narzucenia mu czegoś, co - jak podejrzewał - niechybnie ma go wyprowadzić na boczny tor; Paweł M. za każdym razem umiał to uzasadnić. Pierwszym skutkiem stała się postępująca blokada ROMB; jednomyslności nie można było uzyskać nawet wówczas, gdy wszyscy gotowi byli przyjąć projekt wysunięty przez Andrzeja.

Wszystko to stanowiło kolejny wielki sygnał ostrzegawczy i potwierdzało zagrożenia, o których pisałem wyżej. Chociaż jednak doskonale zdawałem sobie sprawę, że bezpieka wciska się do nas wszelkimi możliwymi szczelinami - samo poddanie pod dyskusję sprawy inwigilacji Ruchu Obrony przez SB groziło, że w sytuacji narastającego braku wzajemnego zaufania zbyt wiele osób z kierowniczych kręgów NN i ROPCiO potraktuje to jako prowokacyjną insynuację, co więcej - wymierzoną osobiście przeciwko każdemu z nich. Sprawy wymagały maksimum delikatności i dyskrecji, dlatego o tych drażliwych problemach zacząłem rozmawiać tylko z niektórymi osobami. Inaczej było na płaszczyźnie nn, ale tam zajmowaliśmy się nie tyle strukturami zewnętrznymi, ile

kwestiami zabezpieczenia struktury wewnętrznej przed przeniknięciem agentury, która - jak zakładaliśmy - zainstalowała się już w ROPCiO i NN. Nie mieliśmy jednak podstaw do formułowania jednoznacznych wniosków personalnych. Zbyt ceniłem Andrzeja (i - dodajmy - lubiłem), aby dopuścić myśl, że jego wysoka inteligencja oraz zasady moralne nie wystarczają do skutecznego odrzucania napływających z różnych stron inspiracji безпеiki; odczytywałem je przecież także na własnej skórze. Gdy wreszcie zacząłem dopuszczać, że nie chodzi o ogólny wpływ, tylko bardzo silnie ukierunkowane działanie - założyłem błędnie, że agent działa na kogoś z otoczenia Czumy (inspiracja dwu-, może nawet trójstrzeblowa). Trochę trwało, nim zaalarmowana przeze mnie samoobrona zaczęła szukać; gdy ostatecznie podejrzenia zaczęły się krystalizować (m. in. na Pawle M.), sprawy zaszły już za daleko.

Rzecz była o tyle bardziej skomplikowana, że jesienią i zimą 1977 r. Czuma akcentował brak zaufania głównie wobec Ziemińskiego i Głogowskiego, a z czasem także Wojciechowskiego. Zwłaszcza Wojtko traktował z ogromną dozą niechęci czy wręcz wrogo. Jeszcze w początkowej fazie tworzenia NN Andrzej zdecydowanie odrzucił propozycję, aby do tej pracy wciągnąć Ziemińskiego. Przyjąłem to ze zrozumieniem - pamiętając, że swego czasu gen. Abraham odmówił, gdy prosiłem, aby przekazał mi Wojtko do pracy politycznej. - *On się do tego nie nadaje. Jest doskonały w organizacji nabożeństw i uroczystości rocznicowych, w odślanianiu pomników i tablic - i niech przy tym zostanie* - mówił Generał. Nie byłem do końca przekonany, nie znałem zresztą Wojtko bliżej, ale gdy zaczęliśmy tworzyć ROPCiO Ziemiński miał już tyle różnych zajęć, że angażowanie go w NN nie miało większego sensu.

Jeśli do tych wszystkich antypatii Czumy dodamy popsucie naszych wzajemnych stosunków, można było dojść do wniosku, że w swym quasikaznodziejskim zapale Andrzej kieruje ataki przeciwko wszystkim. Jeśli gdzieś koło niego działał agent wpływu - takie zachowanie wydawało się niezrozumiałe. Chyba, że chodziło o spalenie człowieka.

Z kolei stosunek Ziemińskiego do Czumy był w owym czasie równie niechętny, choć na zewnątrz manifestowało się to słabiej. Podobnie jak w przypadku Andrzeja, od września-października współpraca Wojtko ze mną zaczęła napotykać na coraz to nowe przeszkody. Najpierw dotyczyły to spraw "Opinii", później całego Ruchu Obrony. Mechanika narastania nieporozumień była identyczna jak w przypadku Czumy. Ziemiński czuł się wyraźnie niedowartościowany. Domagał się poważniejszego miejsca w "Opinii". - *Pisz więcej, proszę* - mówiłem - *wszystko będzie drukowane. Ale jemu nie chodziło o same publikacje: chciał zostać cenzorem pisma. Nie byłem przeciwny, aby zapoznawał się z całym numerem w toku jego tworzenia - ale okazało się, że jest to dla niego zajęcie zbyt pracochłonne. Ziemiński otrzymywał egzemplarz matkę i mógł go natychmiast przeczytać i zgłosić uwagi; w najgorszym wypadku oznaczało to konieczność przepisania paru stron. Jednak Wojtek zgłaszał uwagi dopiero w jakiś czas po wydaniu danego numeru "Opinii". Zakładałem, że dopiero wówczas czytał ją w całości. Być może tak było, ale dzisiaj wiem, że poczynając od września 1977 r. zawartość każdego numeru starannie analizował ktoś inny.*

Dwie spośród interwencji Ziemińskiego były bardzo charakterystyczne. Jakiś znajomy Czumy z zielonogórskiego przywiózł mi szczegółową informację o wypadku spowodowanym pod Krosnem Odrzańskim przez pijanych żołnierzy sowieckich, którzy przewożonym transporterem opancerzonym staranowali autobus, powodując liczne ofiary śmiertelne; Rosjanie natychmiast otoczyli miejsce wypadku, tak że początkowo karetki pogotowia miały kłopot z dotarciem. Ogłosiłem to natychmiast w "Opinii". Parę tygodni później Wojtek wystąpił z pryncypialną krytyką: naszym obowiązkiem jest pisać tylko prawdę i samą prawdę - a nie mamy dowodów, że Sowietci byli rzeczywiście pijani; ponadto oczywiście fałszywy jest zarzut, że uniemożliwiano pomoc ofiarom, skoro ostatecznie karetki przewiozły rannych do szpitali. Upłynęło jeszcze trochę czasu i sprawa "fałszywej informacji" została wznowiona; tym razem Ziemińskiego wsparł

Andrzej Czuma - niepomny, że tylko dzięki jego pomocy i w jego obecności mogłem uzyskać pełną relację o wypadku. Tym razem atakowano mnie z wycinkami miejscowej prasy - oczywiście oficjalnej! - w ręku: rzeczywiście, nie zawierały ani słowa o tym, że sprawcy byli pijani, a sowietci zatrzymywali karetki.

Druga sprawa dotyczyła felietonu Tadeusza Korzeniowskiego - młodego, wybitnie inteligentnego pisarza, którego pozyskałem do "Opinii" dzięki Olkowi Halowi. Podpisując się własnym nazwiskiem, Korzeniowski wyśmiał znanego aktora, potępiającego na łamach "Trybuny Ludu" imperialistyczną broń neutronową. Tym razem krytyka Ziemińskiego była nie tylko pryncypialna, ale i humanitarna: pismo broniące praw człowieka nie może występować w obronie środków masowej zagłady oraz ludobójstwa, jakie niesie z sobą bomba N! Tym razem zareagowałem nerwowo: Wojtek, zapisz to wszystko na papierze, schowaj, a jutro spokojnie przeczytaj: sam sobie zadasz pytanie, co za idiota mógł tak uważać.

O obu tych sprawach "Warszawski" rozpisywał się szeroko. Podkreślał, że wielokrotnie przekonywał Ziemińskiego, iż "Opinia" nie może publikować jakichkolwiek niesprawdzonych informacji; jakby wynikało z akt, to Marian B. dostarczył Wojtkowi wycinek prasowy, uzyskany chyba dzięki pomocy kpt. K. G-skiego. W sprawie broni neutronowej aktywność agenta była o wiele większa. Poza rozmowami z Ziemińskim, ten miły, starszy pan odwiedzał specjalnie Kazika Janusza i Bogusława Studzińskiego, obu przekonując, że pismo ROPCiO nie może pochwalać ludobójstwa. W owym czasie osobiście przypuszczałem, że awanturę zainicjował Paweł M., związany ze środowiskiem aktorskim, ale w dostępnych meldunkach "Lewandowskiego" nic nie znalazłem na ten temat. Przekaznikiem krytycznych uwag wobec "Opinii", tzw. treści ustalonych w bezpiecie był tylko "Warszawski"

Jeszcze w początkowej fazie konfliktu w "Opinii" starałem się dowartościować Ziemińskiego wszelkimi metodami. Dość długo - i zachowując rzecz całą w zrozumiałej tajemnicy - przygotowywałem uzyskanie dla "Opinii" wypowiedzi Jimmy Cartera. Był to pierwszy prezydent USA, który prawa człowieka uczynił nadrzędnym celem polityki amerykańskiej. Wprawdzie całą tę koncepcję polityczną, przełomową dla stosunków Wschód-Zachód stworzył Zbigniew Brzeziński, ale możliwość zamieszczenia tekstu Prezydenta, a w dodatku nie Polaka, tylko Amerykanina była o wiele bardziej nęcąca. Zabiegi rozpoczęliśmy już latem 1977 r., a prowadził je Zbigniew Wołyński, mieszkający w Polsce obywatel amerykański, inwalida - ongiś rotmistrz Karpackich Ułanów, który Virtuti Militari uzyskał za kampanię na Pustyni, a nogę stracił pod Ankoną; wspomagała go z ogromnym zaangażowaniem jego żona Lee, wcześniej asystentka Henry Kissingera w Harvardzie. Oboje uruchomili wszystkie możliwe sprężyny i była to ich wyłączna zasługa, że gdy w końcu grudnia Carter przybywał z oficjalną wizytą do Polski, miałem już nie tylko wiążące zapewnienie, że udzieli wywiadu "Opinii", ale także uzgodnioną treść pytań. Dopiero wtedy o samym pomysle powiadomiłem kolegów. Jako przedstawiciela "Opinii" na konferencję prasową wyznaczyłem Adama Wojciechowskiego, który miał niezły akcent AmericanEnglish (m. in. rok spędził w Kanadzie), ale ostatecznie nie dopuszczono go na salę "Interpressu". Byliśmy na to przygotowani. Chyba dwa dni przed konferencją prasową przepisałem ostateczną treść pytań i właśnie wystukiwałem na maszynie pismo przewodnie do sekretarza prasowego Cartera, gdy pojawił się Ziemiński. Był bardzo podniecony. *Leszek, nie możesz sam występować w imieniu "Opinii", zasłużonych jest więcej i mają również prawo do uznania...* Mówił tak parę minut, a ja milcząco pisałem. Gdy skończyłem, wyciągnąłem kartkę z maszyny, podałem mu ją i powiedziałem: podpisz. Pismo kończyło się formułą: *w imieniu kolegium redakcyjnego "Opinii" - Wojciech Ziemiński.*

Wkrótce po konferencji prasowej Cartera rzecznik ambasady amerykańskiej ogłosił, że prezydent udzielił wywiadu prasowego niezależnemu miesięcznikowi "Opinia". Stało się to sensacją dnia, tak wielką, że przysłoniła znacznie ważniejsze wydarzenie: równoczesne ogłoszenie w Dzienniku Ustaw PRL ratyfikowanych Paktów Praw Człowieka, o co tak długo i stanowczo zabiegał Ruch

Obrony. Ziemiński był w euforii, wszędzie powtarzał: *Tylko mnie Carter udzielił wywiadu!* Wyciągał z tego daleko idące wnioski. - *Sam rozumiesz* - tłumaczył mi nazajutrz - *że skoro Carterowi wystarczyło nazwisko Ziemińskiego, moja pozycja w "Opinii" i ROPCiO musi zostać określona na nowo.* Coś podobnego opowiadał i innym, czując się już absolutnym szefem. Zaniepokoiło to Wojciechowskiego, który na najbliższym posiedzeniu kolegium "Opinii" przeforsował, że od tej pory w tzw. stopce pisma przy moim nazwisku umieszczano skrót (red. nac.); w praktyce nic to nie zmieniło, bo i tak przygotowywałem numer sam. Czuma posunął się jednak dalej i proponował, aby całkowicie odsunąć Ziemińskiego. Daj mu spokój - uchyliłem sugestię - za tyle lat ofiarnej pracy należy się Wojtkowi jakaś satysfakcja: niech nareszcie poczuje się ważnym.

Materiały bezpieki ujawniają przynajmniej częściowo przyczyny konfliktu Czuma z Ziemińskim: obaj byli nastawiani przeciwko sobie. Po prostu "Warszawski" prowadzony był przez sekcję IV wydziału III KS MO, a "Lewandowski" przez wydział III departamentu III MSW (prowadził go sam kierownik wydziału) - a obaj byli instruowani, aby podsycać wszystkie wewnętrzne waśnie i spory. Zamieszanie potęgował fakt, że niektórzy działacze ROPCiO byli przedmiotem rozpracowania operacyjnego pionu III (zwalczanie opozycji politycznej), inni - pionu IV (walka z Kościołem), a nawet pionu II (kontrwywiad); do tego dochodziło Biuro Śledcze MSW. Koordynacja działań, dokonywana od wiosny 1977 r. na szczęblu zastępcy dyrektora departamentu III MSW była daleka od precyzji. W Warszawie kombinację operacyjną "O", zmierzającą do dezintegracji i likwidacji nielegalnej organizacji dorosłych, czyli Sprawę OR przeciwko Moczulskiemu (rozumiano przez to zarówno NN jak ROPCiO) prowadziła sekcja II wydziału III (kierownik kpt. Lech W.) Przygotowane przez nią w sierpniu i we wrześniu 1977 r. dwa kolejne plany działania traktowały grupę przywódczą Ruchu Obrony (Moczulski, Czuma, Ziemiński, Wojciechowski, Janusz) jeszcze jako całość, a prowokacyjne działania i oszczercze kampanie wymierzone były przeciwko wszystkim bez różnicy, choć specyfikowane indywidualnie. Powodowało to, że tam, gdzie udawało się dotrzeć agentom - nieufność, różnice zdań i konflikty pojawiały się wcześniej. Dopiero w grudniu 1977 chaotyczne działania SB zaczynają być porządkowane: koordynacja działań zostaje przekazana świeżo powołanemu wydziałowi IX departamentu III MSW (naczelnik: ppłk Leszek B.), wydzielonemu głównie z wydz. III. Skierowani tutaj oficerowie wcześniej zajmowali się tylko okazjonalnie sprawami Ruchu Obrony, ale byli w miarę dobrze zorientowani w przebiegu spraw. Od grudnia cała kombinacja operacyjna zaczyna być kierowana jednolicie. Jednym z pierwszych efektów tego staje się skoordynowanie działań "Warszawskiego" i "Lewandowskiego". Ślady tego zaczynają mnożyć się w aktach. Nie wszystkie są równie widoczne, a niektóre może odczytać tylko osoba, bardzo głęboko wprowadzona w jawnotajne poczynania NN i ROPCiO. Przykładowo, w styczniu 1978 r. "Warszawski" pyta się Ziemińskiego o zdanie w sprawie kanonizacji Traugutta, ale Wojtek nic na ten temat nie wie. Nic dziwnego, bo problem poruszano jedynie w wewnętrznych dyskusjach "Wspólnoty" (później Czuma ujawnił go w szerszym gronie w Łodzi). Wiedział o tym "Lewandowski", ale od stycznia pochodzące od Pawła M. informacje sprawdza czy wykorzystuje już "Warszawski" - i vice versa. Koordynacja zaczęła działać.

Nie chodziło, rzecz jasna, tylko o koordynację. Na przełomie 1977/78 został ostatecznie wybrany główny przedmiot ataku. Zawsze uderza się w ludzi. Tym razem w grę wchodziły trzy osoby: Moczulski, Czuma i Ziemiński. Akta zawierają dokładne charakterystyki tych postaci oraz rozważania, na kim skupić główny atak, a kogo wesprzeć w wewnętrznych rozgrywkach hazardystów. Moczulski uznany został za najgroźniejszego zarówno z racji *silnej indywidualności, minimalnego stopnia sterowalności i głębszego przygotowania politycznego* ale też dlatego, że był najbardziej znany. Czuma został uznany za znacznie mniej groźnego w znacznej mierze pod wpływem niepocholebnych ocen forsowanych przez "Lewandowskiego"; zakładano, że niewątpliwa wybitna indywidualność i fundamentalistyczny idealizm Andrzeja utrudnią będą stworzenie szerszej formacji. Ponadto, również pod wpływem agentów osadzonych w jego bezpośrednim

otoczeniu, bezpieka zakładała, że gdy Czuma przejmie kierownictwo ROPCiO, będzie się starał rozwijać przede wszystkim strukturę konspiracyjną - mniej groźną, bo wstrzymującą się od bezpośredniej działalności politycznej. Gdyby od dyskusji chciał przejść do czynów, Paweł M. gwarantował, że podziemną grupę będzie można rozbić jednym uderzeniem. Za dodatkową zaletę tego ukierunkowania Czumy, prowadzącą do dalszej dezintegracji ROPCiO, bezpieczniacy uznali fakt, że tylko mniejszość czołowych działaczy Ruchu Obrony widziała potrzebę prowadzenia działań konspiracyjnych; większość była temu niechętna, ponieważ obawiała się kompromitacji politycznej (np. Głogowski), albo zbyt wielkiego ryzyka (np. Ziemiński). Rozwijanie tajnych struktur przez Czumę doprowadzi - uważali bezpieczniacy - do konfliktów i całkowitego rozprzężenia ROPCiO.

Oceny dotyczące Ziemińskiego były o wiele bardziej lakoniczne; można je sprowadzić do lapidarnej, choć krzywdzącej oceny, że jest to *działacz parafialny* ("Warszawski" wkłada do określenie w usta Kazika Janusza), a nawet *bezmyślny gaduła* (własna ocena Mariana B.).

Ostatecznie zapadła decyzja, aby całe uderzenie skierować przeciwko Moczulskiemu, pomagając Czumie i Ziemińskiemu w przejściu kierownictwa nad ROPCiO - z założeniem, że i tak się pokłóca.

Zachowajmy proporcje. Omawiana przeze mnie kombinacja operacyjna była tylko elementem szeroko zakrojonych działań. W tych ramach skoordynowana ofensywa, nasilająca się od pierwszych miesięcy 1978 r. a prowadzona przez liczne ogniwa departamentów II, III i IV MSW oraz wojewódzkie organa SB w całym kraju, starała się objąć wszelkie rozpoznane przejawy aktywności środowisk niepodległościowych. Teczki, znajdujące się w aktach sprawy lustracyjnej, zawierają materiały dotyczące głównie jednej tylko gry, prowadzonej w latach 1977-78 przeciwko NN i ROPCiO w Warszawie. Informacje dotyczące pozostałych operacji SB mają charakter cząstkowy. Wystarcza to jednak aby skojarzyć poszczególne elementy prowadzonej ofensywy. Objęła ona m. in. strukturę, którą Romuald Szeremietiew, Tadeusz Stański, Tadeusz Jandziszak i Maciej Pstrąg-Bieleński stworzyli wewnątrz PAX. W tej grupie skupiali się przede wszystkim ludzie młodzi, w tym większość kierowników wojewódzkich młodzieżówek, ale także ok. 10 (na niespełna 50) szefów oddziałów wojewódzkich. Zakres wpływów był znacznie szerszy, objął nawet jednego członka ścisłego Prezydium PAX (Janka Króla, szefa organizacji młodzieżowej). Podstawą dla formowania tej wewnątrzpaxowskiej opozycji było coraz silniejsze dążenie nowej generacji do zerwania z PZPR i przejścia na stronę Kościoła i Prymasa Wyszyńskiego; patriotyczne przekonania większości tych młodych ludzi ułatwiały przyjmowanie programu niepodległościowego. Szeremietiew, który wszedł do PAX jako osoba już ukształtowana politycznie i w pełni świadoma swego zadania, potrafił ich wszystkich skupiać w jednej strukturze. Niewiele brakowało, a kierowana przez niego grupa opozycyjna uzyskała by zdolność do rozbitcia starego PAX i - jak pisałem wyżej - stworzenia nowego jawnego ugrupowania opozycyjnego.

Może największy niepokój w kręgach partyjno-policyjnych budziły jednak środowiska nieprecyzyjnie określane jako kombatanckie. Zaliczano do nich ludzi, którzy czynnie uczestniczyli w AK i innych formacjach ruchu oporu, a po wojnie związali się z opozycją i podziemiem. Ogromna ich większość pozostała wierna niepodległościowym ideałom młodości. W latach siedemdziesiątych byli oni jeszcze w sile wieku, dysponowali niemałą energią i autorytetem społecznym. Wprawdzie tylko mała część tych środowisk zaangażowała się czynnie w kultywowanie tradycji kombatanckich poprzez przygotowywanie obchodów rocznic, tworzenie zespołów środowiskowych, organizowanie najprzeróżniejszych dyskusji, prelekcji w szkołach, obronę dobrego imienia Polski niepodległej i jej żołnierzy - ale nie budziło raczej wątpliwości, że gdyby doszło do sprzyjającej sytuacji politycznej - ludzie ci masowo podejmą aktywne działania. Dla SB było oczywiste, że wewnątrz tych środowisk tkwi jakieś niepodległościowe sprzysiężenie. Dlatego ta część społeczeństwa poddawana była nieprzerwanie najprzeróżniejszym formom

manipulacji i kontroli ze strony władz PRL. Obejmowały one z jednej strony tworzenie sterowanych organizacji kombatanckich (zwłaszcza ZBOWiD, zreformowany w latach sześćdziesiątych przez gen. Moczara i poddany bezpośredniemu nadzorowi bezpieczeniaków najprzeróżniejszej maści), jak też utrzymywanie wyjątkowo gęstej, nawet jak na warunki totalitarnego państwa, sieci agenturalnej. Środowiska kombatanckie raz po raz stawały się przedmiotem najprzeróżniejszych kombinacji operacyjnych SB, zmierzających do dezintegracji i blokowania aktywności. W latach siedemdziesiątych może najgroźniejszą była olbrzymia kombinacja operacyjna, współkierowana przez płk. Jana Zabawskiego - od pierwszej połowy lat pięćdziesiątych szefującego nieprzerwanie pionem ewidencji operacyjnej, dyrektora potężnego Biura "C" MSW, występującego na ogół w mało groźnej - dla naiwnych - postaci szefa archiwum¹². Operację wdrożono w okresie 1968-70, trafnie przewidując, że zbliża się okres wielkich napięć społecznych; antyustrojowe środowiska kombatanckie, wielokrotnie liczniejsze od tzw. rewizjonistycznych (opozycja wewnątrzustrojowa), mogły masowym ruchem społecznym nadać wyraźny charakter polityczny, wymierzony wprost w PRL - co rzeczywiście nastąpiło w latach 1980-81. Głównym celem tej kombinacji operacyjnej "Z" była kompromitacja oraz zastraszenie osób potencjalnie niebezpiecznych, zwłaszcza o cechach przywódczych. Możliwość kompromitacji organizowano, tworząc co najmniej pozory, a często fałszywe dowody, że dana osoba jest lub była agentem SB czy NKWD, albo agentem obcego wywiadu (zwłaszcza niemieckiej BND), albo nawet agentem Gestapo. W tym celu wykorzystywano m. in. stare zasoby archiwalne MSW, zwłaszcza teczki oficerów AK, BCh i NSZ wypełnione sfalszowanymi "dowodami" współpracy z Niemcami. Miały one służyć publicznej, a co najmniej na wpół poufnej "kompromitacji" Bogu ducha winnych osób - często prawdziwych bohaterów walki z okupantem. W teczkach gromadzono fałszywy materiał różnej wartości: od najstraszliwszych oskarżeń (współorganizowanie mordów Gestapo) po zarzuty względnie niewinne (np. że wybitny dowódca partyzancki kłamał, iż w 1939 r. był już podporucznikiem, gdy na prawdę osiągnął stopień kaprała-podchorążego) albo pozornie absurdalne (że był tajnym członkiem ZBOWiD, albo że utrzymywał bliskie kontakty osobiste z Moczarem). Fabrykując takie "dokumenty", nie zwracano uwagi nawet na istnienie niewątpliwych dowodów ich fałszu. Zachowano i wykorzystywano teczki dowodzące, że ktoś był gestapowcem i został za to skazany - mimo że po 1956 r. sąd prawomocnym wyrokiem zrehabilitował fałszywie oskarżonego. Większość tych materiałów przygotowywano i gromadzono w Biurze "C", aby wykorzystać dopiero w odpowiednim momencie, ale niektórymi posługiwano się doraźnie, aby bezpośrednio zastraszyć delikwenta, a przynajmniej spowodować czasowe zablokowanie jego aktywności. Niektóre kombinacje SB były tak bardzo skomplikowane, że - poza chęcią tworzenia zamieszania - trudno odkryć ich właściwe cele. Przykładowo, Władysław Bartoszewski wydał ważną pracę o pomocy Żydom przez polski ruch oporu "Ten jest z Ojczyzny mojej". Ponieważ obliczona ona była również na odbiorcę zagranicznego, agencja Interpress - agenda MSZ (oraz dpt. II MSW!) - zorganizowała wielką konferencję prasową promującą książkę. W konferencji nie uczestniczył autor, bowiem tegoż dnia rankiem SB - ściślej: funkcjonariusze dpt III MSW rozpoczęły wielką rewizję w jego mieszkaniu, szukając przede wszystkim materiałów archiwalnych z okresu II wojny światowej. Towarzyszyła temu sterowana kampania najdzikszych plotek: od groźnych: *bezpieka nigdy nie zapomni prawdziwych wrogów przez oszczerce: Bartoszewski związany jest z frakcją syjonistyczną PZPR, sterowaną przez Jakuba Bermana (!)* po absurdalne: *robią mu reklamę*. Częściej podobne operacje przeprowadzano cicho: np. rewizje połączone z przesłuchaniami na temat związków danej osoby z Kalksteinem (agentem Gestapo uczestniczącym w rozpoznaniu i wydaniu gen. Grota-Roweckiego, po wojnie agentem UB); tłumaczeń, że delikwent nie tylko nie znał Kalksteina, ale nawet nie miał fizycznej możliwości, aby się z nim zetknąć - manifestacyjnie nie umieszczano w protokole. Kiedy indziej robiono to jawnie: bezpieczeniacy przyjeżdżali do instytucji w której dane osoba pracowała i zabierali ją z sobą do jakiegoś znanej knajpy, gdzie przez

¹² Naczelnikiem wydz. II Biura "C", do którego należało centralne archiwum MSW, był w tym czasie ppłk Zdzisław Bilski. Centralne Archiwum MSW odrębną placówką MSW - podległą wprawdzie Biuru "C" - było tylko w latach 1956-65. Kierowali nim kolejno płk Zygmunt Okręt (wcześniej zastępca dyrektora departamentu VII MBP - wywiad zagraniczny) i ppłk Wacław Poterański.

wiele godzin prowadzili rozmowę na oderwane historyczne tematy (np. Leopolda Kumanta czterech wysokich oficerów MSW przez cały dzień wypytywało w prestiżowej restauracji "Pod dębami", kto byłby najlepszym następcą gen. Grota-Roweckiego; absurdalność rozmowy podkreślał fakt, że Poldek w 1943 miał stopień podchorążego i nie znał wówczas osobiście nikogo z szefów ruchu oporu). Takim publicznym konferencjom nadawano rozgłos i powodowano fałsz plotek. Nieraz stosowano otwarte groźby. *Ale pan ma szczęście - mówił ubek - widziałem pańską teczkę. Są tam bardzo przekonujące dowody, że był pan w Gestapo. Ja wiem, że to nie prawda, ale otarł się pan o śmierć. Teczka skompletowana dopiero w 1955 r.; gdyby pół roku wcześniej, byłaby czapa.* Co gorsza, miało to wszystkie pozory prawdy; wszyscy wiedzieliśmy, że gdyby Antoniego Hedę - legendarnego "Szarego" schwytano rok wcześniej, skończyłoby się wykonanym wyrokiem śmierci pod jakimś hańbiącym zarzutem. Szantaże dotyczyły nie tylko przeszłości. Zdarzało się, że wezwanego na przesłuchanie bezpieczeniak cynicznie informował: *gdy tylko dowiedziałem się, że dostał pan mieszkanie, zarejestrowałem pana jako naszego agenta; skoro tylko pojawi się taka potrzeba, ujawnię dowód, jaką cenę pan zapłacił za mieszkanie.* Niestety, często zdarzało się, że delikwent fakt szantażu ukrywał, a nawet podpisywał zobowiązanie zachowania tajemnicy. Co gorsza, były i przypadki, że płacono taką cenę. Znajdujące się w aktach sprawy teczki pracy TW "Kleszczewskiego" - wcześniej dzielnego oficera II Korpusu - są szczególnie nieprzyjemną lekturą.

W ramach tej wielkiej kombinacji operacyjnej względnie wcześnie stosować zaczęto dość szczególne zastraszanie zbiorowe. Płk. Zabawski starannie dobrał pewną ilość teczek ludzi, fałszywie oskarżanych o współpracę z Niemcami. Na tej podstawie inny bezpieczeniak - mjr Stefan Skwarek, naczelnik wydziału w departamencie szkolenia, który w 1971 r. przeszedł do pracy naukowej - przygotował i wydał w "Książce i Wiedzy" dwie szczególnie parszywe książki: "Ziemia niepokonana" (1973) oraz "Na wysuniętych posterunkach" (1977). Niektórzy dowódcy AK i NSZ z kieleckiego i radomskiego zostali kłamliwie przedstawieni jako agenci Gestapo. Nie przeszkadzało, że większość z nich (tych, którzy przeżyli, albo przy życiu została rodzina lub przyjaciele) następnie zrehabilitowano sądownie; Skwarek udawał naukowo, że chodziło o zdrajców, odwołując się bezpośrednio zasobów archiwalnych - teczek, zachowanych w Biurze "C" MSW. Dobór postaci "negatywnych" nie był wcale przypadkowy: łatwo można zauważyć, że z wszystkimi tymi rzekomymi agentami rzeczywiście współpracowały (podczas wojny lub bezpośrednio po niej) osoby, które w latach siedemdziesiątych organizowały lub wspomagały niezależną aktywność środowisk kombatanckich czy wręcz struktury demokratycznej opozycji. Książki Skwarka stanowiły manifestacyjne ostrzeżenie, że MSW w każdej chwili może wykorzystać nagromadzone w teczkach prowokacyjne materiały, nawet uznane sądownie za fałszywe; każdego w każdej chwili można pomówić, że był agentem niemieckim czy jakimś innym. Skwarek zaprezentował to na przykładzie Okręgu AK "Jodła", ale chodziły słuchy, że w następnych wydawnictwach znajdą się podobne fałszywe oskarżenia ludzi z Białostockiego, Lubelskiego, Krakowskiego, Lwowskiego i samej Warszawy. Bieg wydarzeń historycznych przeszkodził tak szeroko zakrojonej produkcji ubowsko-edytorskiej, choć może maszynopisy naukowych i źródłowych monografii różnych skwarków dopiero czekają na naiwnego odkrywcę.

Od początków 1977 r.. zmasowane uderzenia SB kierowało na środowiska kombatanckie, w pierwszej połowie 1978 r. prowadząc już ciągłą ofensywę. Ludzie byli nachodzeni, przesłuchiwani, blokowani. Ponadto spora grupa osób z tych kręgów przeszła do bezpośredniej działalności opozycyjnej, co spowodowało, że wypracowane przez lata struktury i więzi organizacyjne uległy naturalnemu osłabieniu. "Centralizacja" - kierowany bezpośrednio przez gen. Abrahama zespół organizujący działalność zewnętrzną (prelekcje, obchody, uroczystości, tablice i pomniki) osłabł wyraźnie po jego śmierci, a wkrótce potem stał się przedmiotem odrębnej kombinacji operacyjnej. Ponieważ niewątpliwie aż do wewnętrznych kręgów różnych inicjatyw przedostała się agentura, wiosną 1978 r. trzeba było zawiesić prawie całą strukturę tej akcji zewnętrznej (zwanej też bieżącą). Działo się to już w warunkach ostrego konfliktu, sprowokowanego niewątpliwie z zewnątrz, który

bardzo podzielił dwie różne grupy kombatanckie, organizujące żołnierskie pielgrzymki na Jasną Górę. Aby przerwać gorszące spory, musiał brutalnie interweniować Prymas.

Równocześnie, dość niespodziewanie, rozpoczęło się uderzenie w naszą strukturę w PAX. Sterowane przez bezpiekę, która dostarczała wszelkich informacji, prowadzone było przez zespół wyłoniony z kierownictwa Stowarzyszenia (formalnie kierował nim Ryszard Reiff, choć zdaje się, że główną rolę spełniała jakaś inna osoba). Na przełomie wiosny i lata 1978 r. doszło do prawie równoczesnego załamania akcji zewnętrznej środowisk kombatanckich i rozbitcia grupy Szeremietiewa w PAX. W tym też mniej więcej czasie niespodziewanie zmarł Zbigniew Załuski. Po decyzji, że przystąpi do szybkiego uruchomienia wspomnianego wcześniej łamacza fał kontakt między nami z przyczyn oczywistych został przecięty. Raz tylko, wiosną 1978 r. okrężną drogą otrzymałem od niego wiadomość, że narasta napór KGB (co i Ciebie dotyczy). Jest bardzo trudno, ale dam radę. Wiadomość o nagłej śmierci Załuskiego stanowiła zarazem informację, że szykowany "łamacz fał" sam został złamany.

Wszystkie te ciosy uderzały w tym samym czasie w różne fragmenty nurtu niepodległościowego; struktura trzeszczała coraz bardziej, ale nie pękała. Można się było obawiać, że gdy SB sięgnie głębiej, zagrozi katastrofą. Szczęśliwie, przygotowywana latami przeszona najprzeróżniejszych dezinformacji, pozoracji, trudnych do rozróżnienia nazw, kryptonimów i przenikających się struktur okazała się wystarczająca. Trafna okazała się decyzja z końca 1977 r., aby przestać kierować ludźmi z nn do ROPCiO oraz wyłączyć z czynnej działalności grupy, które stworzą bazę organizacyjną przyszłej partii. Potem przeszła lawina. Jesienią 1978, gdy przetrwaliśmy najgorsze ciosy, można było porządkować szeregi. M. in. na miejsce dawnej "Centralizacji" płk Pluta-Czachowski stworzył pod swoim kierownictwem nowy zespół kierujący, tzw. "Szóstkę" (choć niezbyt chętnie, znalazłem się w tym gremium), a powiązane na nowo struktury rozpoczęły od jesieni masowe działania (m. in. począwszy od 11 listopada 1978 - manifestacje i pochody uliczne¹³). Z ludzi usuniętych z PAX Szeremietiew zorganizował nową grupę: Związek Narodowy Katolików. Kilku najlepszych ludzi z tej grupy weszło w skład podwójnie zakonspirowanego Kierownictwa Akcji Bieżącej KAB. Pod tą enigmatyczną nazwą krył się ośrodek, który prowadził bezpośrednie prace organizacyjne nad powołaniem partii politycznej - wkrótce nazwanej KPN. Równoległe powstał zespół o kryptonimie "Droga"; w części składał się on z ludzi, którzy uczestniczyli w kolegium redakcyjnym "Drogi" - nowego pisma, które zacząłem wydawać latem 1978 r., a także z osób działających w ROPCiO, choć może najważniejszą rolę odgrywali ci, którzy ponadto nie prowadzili żadnej innej działalności. Głównym zadaniem tego zespołu było polityczne i programowe przygotowanie przyszłej KPN. Obok naprawde istotnych placówek, stworzyliśmy kilka raczej pozorowanych. Należał do nich kolejny NN, tym razem zespół usługowy, przeznaczony do przygotowywania tekstów różnych broszur, materiałów rocznicowych itp.; szefem tego NN został Jerzy Gren (posługiwał się od lat tym nazwiskiem - i tak miał wystawioną legitymację prasową SDP - choć na prawdę nazywał się Henryk Ziółkowski); nie wiedział on nic o istnieniu nn i niedawno rozwiązanego NN (powiedziałem mu, że nazwa jest kryptograficznym skrótem od noch einmal - jeszcze raz - co jako germanista przyjął wyrozumiale).

Wybiegłem poza właściwy tok opowieści, aby ukazać tło, na jakim rozgrywała się kombinacja przeciwko ROPCiO i NN. Ciosy padały równocześnie, uniemożliwiając pomoc, jaką poszczególne struktury mogłyby sobie udzielać. Bezpieka dążyła do tego, aby każdy z nas był skazany na samego

13 Andrzej Friszke w swej pracy o opozycji w PRL podaje, że współorganizatorem pochodu, który 11 listopada 1978 r. ruszył spod katedry św. Jana do Grobu Nieznanego Żołnierza miał być Wojciech Ziemiński. To nie prawda. Pochód poprowadziła Nina Milewska, przed Grobem przemawiał Jerzy Gren (Henryk Ziółkowski). Co do Ziemińskiego (w którego najbliższym otoczeniu podczas uroczystości znajdował się Marian B.), to po zakończeniu mszy św. dorwał się do mikrofonu, odsuwając mec. Siłę-Nowickiego - i wezwał obecnych, aby pojedynczo udali się na Plac Piłsudskiego, ostrzegając przed szykowaną prowokacją - wspólnym pochodem. Na szczęście ludzie w tym czasie masowo wychodzili z katedry i wielu nie usłyszało groźnego ostrzeżenia, a na ulicy uformowało się już czoło pochodu

siebie. Dla nich najważniejsze stało się uderzenie w jawne istnienie Ruchu Obrony, dla nas – przetrwanie i zachowanie zdolności do eskalacji politycznej i stworzenia nowych struktur.

Z przyczyn, które trudno jednoznacznie rozszyfrować na podstawie dostępnych materiałów bezpieki, początkowo główny atak kierowany był na bazę ROPCiO - NN. Najwyraźniej SB nie rozróżniało technicznego NN i nn, uważając tę pierwszą strukturę za zorganizowaną podstawę polityczną wszystkich działań środowisk niepodległościowych. Przyczyna mogła być jednak bardziej prozaiczna: dzięki Pawłowi M. bezpieka najszybciej była w stanie sprowokować dezintegracyjne wystąpienia Czumy. Pierwsze skoordynowane działania, zmierzające do wywołania wewnętrznego kryzysu w NN, ujawniły się już na przełomie 1977/78. Znajdujące się w aktach sprawy teczki SB obrazują przebieg kombinacji operacyjnej przeciw NN w Warszawie, ale prowadzona ona była równocześnie w całej Polsce, od Szczecina (gdzie wyrobił sobie pozycję Paweł M.) po Przemyśl (gdzie mu się to nie udało). Metody były zwyczajne: rozsiewanie pomówień, pobudzanie ambicji i podejrzeń, oszczercze anonimy. Z nieco późniejszego okresu zachowała się notatka, przygotowana przez inspektora wydz. III - ppor. mgr An. An., dotycząca metodyki konstruowania takiego anonimu, od zapewnienia dostatecznego prawdopodobieństwa oszczerstwa aż po staranny dobór miejsca nadania, aby adresat i osoba pomówiona (jeśli jej przedstawia anonim) mogli się domyślać, kto był rzekomym nadawcą. Wszystko zmierzało do jednego celu: skłócenia i wzajemnego fałszywego oskarżania, a w następstwie do dezintegracji i likwidacji grupy opozycyjnej. W przypadku środowisk silniejszych i bardziej zwartych trudno było to osiągnąć. Tam, gdzie różne grupy nawiązały współpracę względnie niedawno - bezpieczniackie kliny mogły działać szybciej i skuteczniej.

W ciągu kilku pierwszych tygodni 1978 r. prawie całkowicie sparaliżowany został ROMB. Po drugim zjeździe NN, przeprowadzonym jesienią 1977 r. w Niepokalanowie, w skład tego zespołu weszli - poza mną i Czumą - Jan Dworak, Adam Wojciechowski (na miejsce Grzywaczewskiego), oraz raczej stały doradca kierownictwa, niż formalny członek - płk. Marian Gołębiowski - "Ster". Czuma był pod niemalże codziennym nadzorem Pawła M.; akta potwierdzają, że na Dworaka mógł wywierać wpływ jego daleki kuzyn JS, występujący pod damskim pseudonimem "Potocka"; użyłem słowa "potwierdzają", bo do 1979-1980 r. obaj z Pawłem M. zostali przez nas całkowicie rozszyfrowani. Jak wynika z całości materiałów, znajdujących się w aktach, poza tą dwójką nikt z agentury SB nie był w stanie pozyskać zaufania któregokolwiek z ówczesnych czy wcześniejszych członków ROMB. Kręcili się jacyś inni agenci wokół Andrzeja, ale wydaje się, że ich wpływ był bardzo ograniczony. Również wpływ "Potockiej" był niewielki, widocznie agent bał się dekonspiracji, gdy zacznie wciskać Dworakowi naiwne insynuacje. Udało mu się jednak podrzucić Jankowi jakiś, zapewne autentyczny, nacjonalistyczno-komunistyczny manifest podpisany przez Porębę i Filipskiego, w tym czasie głośnych filmowców a później założycieli stowarzyszenia "Grunwald"; dołączono do tego fałszywą informację, że w zredagowaniu tego obsesyjnego tekstu miał pomagać Moczulski (z Porębą rozmawiałem w życiu bodajże raz, gdy nakręcił film o Hubalu - skądinąd dobry, z Filipskim nie zamieniłem słowa nigdy). Oszczerstwo mieściło się w ramach ówczesnej przewodniej koncepcji SB: trzeba stworzyć wrażenie, że Moczulski pozostaje w bardzo bliskich kontaktach z tzw. frakcją moczarską w KC, a cała jego inicjatywa jawnej opozycji jest tylko narzędziem do wyrugowania grupy Gierka; gdy to nastąpi, ROPCiO będzie mogło wstąpić do odnowionego Frontu Jedności Narodu (stąd sugestie, że udział w wyborach do rad miał być pierwszym krokiem tego połączenia). Tego rodzaju zarzuty zaczęły pojawiać się rzeczywiście, choć na ogół w zawołowanej formie. Gdyby sformułowano je wyraźnie, można było zbadać całą sprawę i ustalić ich fałszywość. Mgławicowe podejrzania nie wystarczały jednak, aby do jakiegokolwiek sprawy doszło. Sugerowały jednak ostrożność: nie dajmy się zrobić w jakiegokolwiek inicjatywy, skoro nie wiadomo, komu one mogą służyć. To wystarczyło, aby odkładać na święty nigdy rozpatrzenie każdego pomysłu, przez kogokolwiek zgłoszonego ROMBowi. W marcu 1978 r. cała działalność tego kierowniczego zespołu NN została całkowicie zablokowana, w kwietniu - na fali nowych oskarżeń - przestał się zbierać, a faktycznie istnieć.

Raz SB spróbowało naprawdę mocnego uderzenia. Nie chodziło już o mało sprecyzowane podejrzenia kontaktów polityczno-frakcyjnych, lecz o konkretny fakt rzekomej bezpośredniej współpracy z SB. Żona "Lewandowskiego" pracowała w wydziale polityczno-wychowawczym Komendy Głównej Straży Pożarnej; faktu tego Paweł M. nie ukrywał. Któregoś kwietniowego dnia miał ją wezwać jej szef - zastępca Komendanta Głównego - i pokazać egzemplarz-matkę najnowszego numeru "Opinii", który dzień czy dwa wcześniej skierowałem do powielenia. Pani Pawłowa M. powiadomiła o tym natychmiast męża, a ten zaalarmował Czumę. Andrzej dobrze wiedział, że są tylko trzy egzemplarze-matki; co więcej, dwa z nich przy nim przekazałem do techniki (jeden Ziemińskiemu, drugi bodajże samemu Czumie). Pozostawał trzeci. Tegoż dnia po południu niezapowiedziany Andrzej zjawił się u mnie w domu na Jaracza; był bardzo spięty i chciał koniecznie coś sprawdzić w ostatniej "Opinii". Szczęśliwie, nie odesłałem jeszcze trzeciego egzemplarza do archiwum; wyjąłem go z podręcznej skrytki i wręczyłem Czumie. Był bardzo zaskoczony, ale i niezadowolony. Łatwo mogłem domyślić się, o co tutaj chodzi.

Andrzej Czuma to uczciwy człowiek, a niezależnie od tego, jak mnie wówczas oceniał, dostał do ręki niewątpliwy dowód, że chodzi o bezpieczniacką prowokację. W następnych dniach sprawę usiłowaliśmy w kilka osób wyjaśnić (Andrzej zdążył podzielić się podejrzeniem, a Paweł M. też nie próżnował). Ostatecznie, po przesłuchaniu p. Pawłowej (ja w tym nie chciałem uczestniczyć) ustalono, że jej szef w Straży Pożarnej nie dał jej do ręki "Opinii", tylko wskazał na jakiś maszynopis, leżący na biurku. Co to był za maszynopis - nie wiedziała. Przyjeliśmy to do wiadomości - wraz z ustaleniem, że informacje pochodzące od osób wątpliwych należy najpierw sprawdzić. Być może była to ostatnia okazja, aby wspólnie zastanowić się, co robić w sytuacji nieukrywanej kampanii insynuacyjnej bezpieki - ale okazało się, że wytworzony wcześniej klimat wzajemnych zarzutów i podejrzeń uniemożliwił szczerą próbę wspólnego działania. Skończyło się na zbyt łatwym wyjaśnieniu sprawy: uznano, że wszystkie trzy egzemplarze-matki były w naszym ręku a uczestniczący w prowokacji oficer pożarnictwa po prostu bluffował. Dziś wiem, że nie musiał udawać, bo natychmiast po otrzymaniu ode mnie egzemplarza Ziemiński przekazał go "Warszawskiemu" do przepisania - i bezpieka, tym razem posługując się "Lewandowskim" - mogła prawdziwy egzemplarz-matkę wykorzystać do każdej prowokacji.

Później - jak się zdaje - pojawiły się jeszcze jakieś inne, niekonkretne podejrzenia, ale do mnie już nie dotarły. Rozsiewał je głównie Ziemiński. Tak wynika ze sprawozdań agenta. Wówczas dowadywałem się o nich pośrednio. W maju jechałem samochodem z Łodzi w towarzystwie Głogowskiego i Studzińskiego. Rozmawialiśmy o przypuszczalnych rzeczywistych źródłach konfliktu, narosłego w Ruchu Obrony. Nagle Boguś powiedział, jakby kontynuując jakąś nieznaną mi dyskusję: Dla mnie najważniejszym dowodem uczciwości Leszka jest fakt, że najgorsze podejrzenia traktuje jak powietrze, że wcale się nie tłumaczy. Popatrzył na mnie. - Jak mam się tłumaczyć, skoro nie znam zarzutów? - zapytałem.

Drugim polem konfliktów stała się "Opinia". Pod koniec zimy 1978 r. Czuma nagle postanowił wejść do kolegium redakcyjnego. Sprzeciwiłem się. Jeśli nie możemy uzgodnić stanowiska w ROMBie, jak uzgodnimy w "Opinii"? Jedynym skutkiem będzie, że pismo przestanie wychodzić - dowodziłem podczas spotkań w cztery oczy. Andrzej nie uznawał tego argumentu: Nie chcesz mnie dopuścić, całą sławę zagarniasz dla siebie. Jest to sprzeczne z wymogami moralności, fundamentu naszego działania - mówił. Ripostowałem nieprzyjemnie: Nie chciałeś pomóc w "Opinii" wtedy, gdy byłeś na prawdę potrzebny. Odpowiadasz za "U Progu" i od jesieni nie tylko, że nie doprowadziłeś do wydania kolejnego numeru, ale nawet go nie przygotowałeś. Pokaż, co potrafisz!

Niespodziewanie dla mnie Czumę zaczął wspierać Ziemiński. Wysunął nową koncepcję: trzeba uzupełnić kolegium redakcyjne, wprowadzając do niego dalsze osoby nie tylko z Warszawy, lecz również z głównych ośrodków terenowych; razem powinno być ich 15-20, co zapewni, że "Opinia"

będzie wyrażała poglądy całego Ruchu Obrony . W warunkach w jakich działaliśmy była to utopia. Zwołanie każdego większego zebrania groziło wkroczeniem SB. W przypadku kolegium omawiającego materiały przeznaczone do najbliższego numeru ryzykowaliśmy ich utratę. Wreszcie szukanie consensusu, które materiały umieścić i jaką im nadać ostateczną formę zapowiadało nie tylko wielokrotne dyskusje, lecz praktycznie uniemożliwiało wydawanie pisma w rytmie comiesięcznym. Przykładowo, w numerze marcowym 1978 "Opinii" znajdowało się dwadzieścia pięć pozycji. Gdyby tylko większość z nich poddano dyskusji i wprowadzono jakieś zmiany, przy parunastoosobowym gremium przeprowadzenie tego na jednym zebraniu stawało się niemożliwe. A przecież po wprowadzeniu poprawek trzeba było znów się zebrać - być może nie po raz ostatni - aby zaakceptować ostateczny kształt artykułów. Już samo dostarczenie tekstów wszystkim członkom kolegium, aby mogli wcześniej zapoznać się z nimi - wymagało pracy paru profesjonalnych maszynistek. Nie dysponowaliśmy ani tymi maszynistkami, ani pieniędzmi, aby je zatrudnić. Egzemplarze-matki "Opinii" przepisywałem sam, przez pewien okres pomagał mi w tym Dworak. Było to bardzo żmudne zajęcie. Ziemiński najlepiej o tym wiedział, skoro otrzymywany egzemplarz-matkę oddawał do przepisywania. Wreszcie, niezależnie od przeszkód natury technicznej, wystarczyła zła wola tylko jednej osoby, aby ustalenie ostatecznej zawartości numeru przedłużyć w nieskończoność.

Pomysł takiego zdemokratyzowania redagowania "Opinii" nie pochodził od Ziemińskiego. Wówczas mogłem zastanawiać się, kto jest autorem, dzisiaj wiem, że podsunął go Wojtkowi "Warszawski". Prowadzili wspólnie wiele rozmów na ten temat, a dziennikarski profesjonalizm i głęboki demokratyzm agenta tak bardzo spodobały się Wojtkowi, że za wszelką cenę pragnął wprowadzić "Warszawskiego" do planowanej Rady Redakcyjnej "Opinii". Jednak agent tłumaczył w raportach do SB, że nie może zgodzić się na ujawnienia swego nazwiska, bo grozi to dekonspiracją. Kpt. G-ski z pewną ironią wyjaśniał powody tej wstrzeźliwości: Marian B. stara się o wysokie odznaczenie państwowe (tzw. chlebowe - zapewniające suty dodatek do emerytury), a nie dostanie go, jeśli podejmie jawną współpracę z opozycją. Ostatecznie nie wiem, czy "Warszawski" to odznaczenie (Polonia Restituta?) otrzymał, czy przełożeni inaczej rozwiali jego opory - ale z czasem nazwisko Mariana B. zaczęło pojawiać się w różnych publikacjach opozycyjnych, związanych z Ziemińskim (choć bezpośrednio po rozłamie, wśród 21 członków kolegium i rady "Opinii" jego nazwiska nie ma; może - jak agentowi sugerował kpt. G-ski - został tajnym członkiem?).

Ze sprawy "Opinii" konflikt rozprzestrzenił się na cały Ruch Obrony. Najpierw ograniczał się do dość wąskiego kręgu, ale po zwolnieniu z pracy w DOKP Andrzej Czuma, dysponujący teraz wolnym czasem, zaczął objeżdżać niektóre ośrodki, propagując czy to demokratyzację Ruchu Obrony, czy też przestawienie ROPCiO z działań politycznych na formująco-moralne. Pierwsze groziło całkowitą anarchizacją pracy, drugie jej ograniczeniem do samych dyskusji wewnętrznych. Dlatego spory merytoryczne szybko przekształcały się w plotki i najprzeróżniejsze podejrzenia. Czytając materiały SB, widzę jak i gdzie te pomówienia powstawały - choć muszę stwierdzić, że ostatecznie nie posłużono się wszystkimi przygotowanymi oszczerstwami; niektóre zbyt jaskrawo odbiegały rzeczywistości.

W toku tej kampanii doszło do postawienia drugiego konkretnego zarzutu, tym razem - jak przewidywała instrukcja SB - finansowego. Ziemiński oskarżył mnie, że wzięłem dla siebie 500 dolarów, otrzymanych na potrzeby Ruchu Obrony; skarbnik NN - Piotr K. potwierdził, że tych pieniędzy ode mnie nie otrzymał.

Nie zajmowałem się kwestiami finansowymi. Nieraz na moje ręce wpływały jakieś datki, głównie z emigracji. W zależności od aktualnych potrzeb przekazywałem je albo do Ruchu Obrony, zwłaszcza na bieżące potrzeby wydawnicze, albo do kasy NN. Istniał jeszcze odrębny fundusz nn, ale już w 1976 r. przestaliśmy tam kierować jakiegokolwiek pieniądze, bo i tak ich brakowało na działalność

bezpośrednią. Ani ja, ani nikt inny z działaczy NN i Ruchu Obrony nie otrzymywał żadnego wynagrodzenia (przynajmniej ja nic o tym nie wiedziałem). Utrzymywałem się z zarobków Majki (pracowała w Instytucie Gruźlicy, a gdy ją stamtąd usunięto, przerywając przygotowywany doktorat - w szpitalu w Mińsku Mazowieckim, dokąd dojeżdżała z Warszawy), a także z odłożonych pieniędzy (m. in. sprzedałem jacht). Zdarzało się, że z posiadanych aktualnie pieniędzy organizacyjnych kupowałem benzynę (miesięcznie w sprawach organizacyjnych przejeżdżałem dobre 5-7 tys. km), ale na ogół koszty eksploatacji samochodu pokrywałem z własnych środków. Wiedzieli o tym wszyscy członkowie ścisłego kierownictwa ROPCiO - zarzut był tym bardziej bolesny, bo nie postawiono go w dobrej wierze.

Okoliczności sprawy przedstawiały się następująco. Wanda Stachiewiczowa, żona ś. p. gen. Wacława Stachewicza, szefa Sztabu Głównego w 1939 r. (i siostra gen. Abrahama) od dawna przesyłała do mojej osobistej dyspozycji sumy różnej wysokości, które początkowo gromadziliśmy na funduszu nn, a następnie przekazywałem na potrzeby NN czy ROPCiO. Te tzw. przesyłki dla "Ziemowita" (pseudonim nadany mi przez p. Wandę dla potrzeb łączności Kraj - Kanada) po śmierci Generała docierały za pośrednictwem Zbigniewa Wołyńskiego. Pamiętałem, że w początkach 1978 r. rzeczywiście nadeszła przesyłka od Generałowej; odebrałem ją od Zbyszka i natychmiast przekazałem komuś celem pokrycia jakiś ważnych należności za papier czy druk. Dalej sprawą się nie interesowałem; działaliśmy w oparciu o wzajemne zaufanie i nigdy od nikogo nie domagałem się rozliczenia przekazanych mi pieniędzy.

Zarzut został postawiony w szczególnym momencie: nazajutrz po wyjeździe Wołyńskich do USA. Wrócili szczęśliwie po kilku miesiącach, ale nikt nie wiedział, czy wpuszczą ich z powrotem. Dopiero wtedy Zbyszek przypomniał mi, że po pieniądze od Generałowej zgłosiłem się do niego razem z Ziemińskim; odebrałem je i nie licząc, przekazałem natychmiast Wojtkowi. Świadcstwo Wołyńskiego było już jednak zbyt późne, bo sprawa została rozstrzygnięta wcześniej: na czerwcowym Ogólnokrajowym Spotkaniu ROPCiO powołano komisję do zbadania zarzutów przeciwko Moczulskiemu. Weszli do niej dwaj księża: Wiśniewski i Sroka, Andrzej Mazur, Marek Skuza oraz - jako mąż zaufania Czumy z podszeptu Ziemińskiego - Marian B. W teczkach zachowane są jego raporty z posiedzeń komisji. W toku przesłuchiwania świadków agent mógł się zorientować, kto należy do NN, a kto tylko do ROPCiO oraz kto był skarbnikiem NN. Uczestniczył też w podejmowaniu ostatecznego, jednomyślnego werdyktu: po zbadaniu wszelkich okoliczności sprawy Moczulski został oczyszczony z wszystkich postawionych zarzutów, w tym zarzutu przywłaszczenia 500 dolarów.

To orzeczenie było ostatnim przejawem wspólnego działania ROPCiO. Na przełomie maja i czerwca doszło do rozłamu w obu silnie połączonych strukturach: jawnej i podziemnej. Najpierw zebrał się zjazd NN aby rozpatrzyć sprawę podziałów w kierownictwie, uniemożliwiających funkcjonowanie ROMBu; po kilkugodzinnej dyskusji, niewielką różnicą głosów doszło do dramatycznej decyzji: samorozwiązania NN. W teczkach są raporty dwu agentów: "Lewandowskiego" i "Stanisława Wysockiego", choć z notatki jakiegoś oficera MSW wynika, że SB otrzymało informację jeszcze z trzeciego źródła. Ujawniają one nieznane mi wcześniej okoliczności, dość prawdopodobne - bo w swojej wymowie mieszczące się w logice wydarzeń. Czuma jeszcze przed zjazdem miał być zdecydowany na doprowadzenie do likwidacji NN. Określał to jako operację oczyszczającą, w następstwie której zachowana zostanie węższa struktura podziemna, może nieliczna, lecz całkowicie mu podporządkowana. Nie zdawał sobie sprawy, że doprowadzając do rozbitcia NN, zabierał ze swoją grupą tych agentów SB, których dziełem było doprowadzenie do konfliktu wewnętrznego.

Początkowo większość zebranych była przeciwna rozwiązywaniu NN. Zmieniło się to po przerwie. W teczkach SB można znaleźć wytłumaczenie, choć jego źródło może budzić wątpliwości. Jakiś oficer MSW sporządził raport, prawie słowo w słowo przepisując meldunek "Lewandowskiego" -

lecz uzupełnił go informacją, o której Paweł M. ani wspomniał. Otóż, podczas przerwy w obradach Czuma miał podglądać w toalecie, że jeden z uczestników zjazdu uruchamia niewielki magnetofon. Powiadomił o tym potajemnie tylko kilka osób spośród niezdecydowanych (zwłaszcza ze środowiska lubelskiego). Bezpieczniak podaje nazwisko osoby, która miała mieć magnetofon, wstrzymując się od komentarza. Wyjaśnia natomiast powód zachowania się Czumy: użył on całej sprawy, aby przekonać kilku uczestników zjazdu, że skoro NN jest już inwigilowany przez SB, to samorozwiązanie jest jedynym rozsądnym wyjściem.

Nie wiem, czy epizod był prawdziwy, czy ktoś go sobie wymyślił. Pomówioną osobę znałem na tyle dobrze, że zarzut uważam za niewiarygodny. Jeśli jednak Czuma zauważył coś podejrzanego, powinien był to natychmiast ujawnić. Tylko w taki sposób można było wyjaśnić całą sprawę, ewentualnie zdemaskować agenta. Byliśmy w stanie przeprowadzić to swobodnie, nawet gdyby doszło do konieczności rewizji osobistej. Obrady odbywały się w miejscu całkowicie bezpiecznym, bo w sali katechetycznej obszernego domu zakonnego przy kościele na ul. Skaryszewskiej w Warszawie.

Majowe rozwiązanie NN przesądzało o rozłamie w całym Ruchu Obrony. Mógł on jednak przybrać różne formy, gdyż zdecydowana większość uczestników ROPCiO chciała wyjaśnienia sporów personalnych, aby odbudować możliwość wspólnego działania. Miało to nastąpić na III Ogólnokrajowym Spotkaniu ROPCiO, zwołanym na 10 czerwca. Z takiej ewentualności zdawał sobie doskonale sprawę Ziemiński. To było zapewne przyczyną, że - w znacznej mierze z podszeptu "Warszawskiego" - starał się doprowadzić do uniemożliwienia przybycia na obrady sporej grupie osób, a wśród nich Moczulskiemu. Zamierzał to osiągnąć, w ostatniej chwili samowolnie przenosząc Spotkanie z uzgodnionego miejsca obrad (w domu Studzińskiego w Zalesiu Górnym) do własnego mieszkania na Żoliborzu (czy jeszcze gdzie indziej) - i powiadamiając o tym tylko wybrane osoby. Ostatecznie, wobec stanowiska większości środowisk, musiał zrezygnować z takiego pomysłu, choć jeszcze w przeddzień Spotkania rozsyłał informacje, że odbędzie się ono w Warszawie, a nie w Zalesiu. Równoległe Ziemiński starał się pozyskać środowiska niezdecydowane. M. in., jak raportuje "Warszawski", przez kilka dni poprzedzających Spotkanie gościł w swoim mieszkaniu parę osób z Łodzi (Głogowski, Mazur), nastawiając je krytycznie przeciwko Moczulskiemu, ale także Czumie.

Andrzej prowadził znacznie prostszą grę: chciał wyeliminowania osób trudnych do podporządkowania; w pierwszym etapie Moczulskiego, w drugim Ziemińskiego, Głogowskiego i wszystkich zbyt niezależnych. Paweł M. podtrzymywał go w tym przekonaniu.

Mnie z kolei zależało na możliwie szerokiej reprezentacji wszystkich środowisk terenowych, w małym stopniu uwikłanych w podziały, występujące w Warszawie. Uważałem, że daje to szansę przeprowadzenia spokojnej, merytorycznej dyskusji i ocalenia jednego, choć niekoniecznie jednolitego Ruchu Obrony. Podobne nadzieje występowały w większości środowisk. Dlatego względnie łatwo udało się ustalić zasadę uczestnictwa w Spotkaniu: przybyć miały reprezentacje których liczebność zależała od siły i znaczenia danego środowiska.

Do Ogólnokrajowego Spotkania ROPCiO przygotowała się starannie również SB. W teczkach znajdują się obszerne plany działania. W samych obradach miało wziąć udział co najmniej czterech agentów SB: Marian B., Paweł M., A. W. ("Zenon" - nowy uczestnik Ruchu Obrony) oraz jakiś socjolog wsi - nie będący jeszcze uczestnikiem ROPCiO, a wprowadzony na obrady przez "Warszawskiego". Ponadto dalsze dwie bliżej nieznanne osoby miał wprowadzić "Lewandowski", ale z akt nie wynika, że byli to agenci; może tylko jacyś znajomi Pawła M., potrzebni przy głosowaniu.

Bezpieka wprowadziła daleko idące środki ostrożności, m. in. zapewniające całkowity spokój

obrad; odwołano normalne patrole milicyjne w Zalesiu, zabroniono interwencji - gdyby ktoś doniósł, że zebrała się liczna grupa podejrzanych osób. W pobliżu rozmieszczono kilku oficerów SB. Równocześnie zastosowano blokadę wobec osób, które podejrzewano o sprzyjanie Moczulskiemu. W Katowicach zatrzymano na 48 godzin Romana Kściuczka a dwie inne osoby legitymowano na dworcu tak długo, że straciły możliwość dojechania na czas do Warszawy; ostatecznie tego ważnego środowiska, które zorganizowało pierwszy w Polsce Komitet Wolnych Związków Zawodowych - na Spotkaniu w Zalesiu nie reprezentował nikt. Z Krakowa, gdzie od dawna działało silne środowisko, udało się przedostać tylko dwu osobom (Romie Kahl-Stachniewicz oraz Krzysztofowi Gąsiorowskiemu), gdy pięć osób czasowo zatrzymano pod jakimś pozorem. Z Lublina przedostał się Zdzisław Jamrożek - inwalida na wózku, ale już na dworcu kolejowym pod jakimś śmiesznym pretekstem przytrzymano dwoje jego towarzyszy. Z Gdańska nie udało się przedostać Jasiowi Samsonowiczowi, z Przemyśla - Staszku Kusińskiemu, nawet z Warszawy Andrzejowi Szomańskiemu; rano milicjant zabrał go z mieszkania na Komisariat, gdzie go przez parę godzin przesłuchiowano w sprawie kradzieży kwiatów, które 3 maja złożył na cmentarzu (rzeczywiście zniknęły, ale z kwatery 1920 r. zabrała je bezpieka). O ile pamiętam, nie dopuszczono do wyjazdu jeszcze paru osób z Poznania, Szczecina i Torunia. Na istniejące wówczas 18 regionalnych środowisk Ruchu Obrony (z czego 14 miało własne jawne biura) do Zalesia przybyły reprezentacje tylko 11. Aby nie było wątpliwości kogo zatrzymywano, wyjaśnię, że Samsonowicz był w następnym roku członkiem założycielem RMP, a wszyscy pozostali wymienieni z nazwiska - KPN. W sumie SB nie dopuściła do udziału w Spotkaniu kilkunastu osób, co rzecz jasna wpłynęło istotnie na przebieg głosowań. Ponadto nadreprezentowane były środowiska warszawskie i łódzkie (łącznie 28 osób na 58 uczestniczących), gdyż Czuma i Ziemiński sprowadzali wszystkich, których tylko mogli.

Mimo tego zdecydowana większość uczestników III Ogólnokrajowego Spotkania dążyła do spokojnego przedyskutowania wszystkich trudnych problemów. Jeśli niektóre osoby chciały postawienia sprawy na ostrzu noża, potępienia i usunięcia z ROPCiO przeciwników, to szybko zorientowały się, że takie zamiary nie mają szansy realizacji. Dlatego głównym punktem nie była jakakolwiek czystka w ROPCiO, lecz mimo wszystko uboczna sprawa wydawania "Opinii".

Zebrani zostali postawieni przed faktem dokonany. Na Spotkanie dostarczono 5/13 numer "Opinii", przygotowany w tajemnicy pod kierunkiem Ziemińskiego i w znacznym nakładzie (3 tys. egz.?) bardzo pięknie wydany na profesjonalnym offsecie. Było to złamanie wspólnych ustaleń. Odłożyłem skierowanie do techniki kolejnego numeru, przygotowanego już w połowie maja, bo kompromisowo zgodziliśmy się z Wojtkiem i Andrzejem, że najpierw Ogólnokrajowe Spotkanie wybierze kolegium redakcyjne, a dopiero po tym wydana zostanie "Opinia". Mimo deklaracji o kanonach moralnych porozumienie wykorzystano jako zwykły wybieg; co więcej, w podanym do publicznej wiadomości nowym, ponad dwudziestoosobowym zespole redakcyjnym znalazły się osoby, umieszczone tam bez ich zgody i wiedzy (m. in. ks. Ludwik Wiśniewski, K. Głogowski, A. Mazur), które stanowczo zaprotestowały przeciwko takiemu nadużyciu. Niewyjaśniona została sprawa z jakich funduszy wydana została "Opinia". Koszt wydrukowania całego nakładu na profesjonalnym offsecie był znaczny, a we wspólnej kasie Ruchu Obrony nie było pieniędzy. Rozgłaszano na ten temat różne informacje. Paweł M. opowiadał, że potrzebne pieniądze Andrzej Czuma pożyczył w KSS "KOR"; raz mówił, że 3 000 dolarów dał Jacek Kuroń, kiedy indziej, że Antoni Macierewicz. Pojawiały się jednak sugestie, że pieniądze załatwił gdzieś Ziemiński; Wojtek robił tajemnicze miny, nie zaprzeczał ale i nie potwierdzał. Do dzisiaj nie wiem ile pieniędzy i skąd uzyskali na - mówiąc najprościej - sfinansowanie rozłamu w ROPCiO. Akta SB są w tej sprawie bardzo wstrzemięźliwe. Gdzieś na marginesie pojawia się tylko informacja "Lewandowskiego", że w kręgach hazardzistów mówi się, że Czuma z Ziemińskim zapewnili tysiąc dolarów na wydanie "Opinii". Ponieważ to jednak Paweł M. zorganizował błyskawiczny druk numeru (później stworzył całe "niezależne" wydawnictwo), przypuszczać można, że kwota była większa.

Złamanie porozumienia i publikacja nowej "Opinii" doprowadziły do bardzo emocjonalnej dyskusji. Zwolennicy Ziemińskiego i Czumy argumentowali, że skoro pismo już się ukazało, powinno być kolportowane; zachowanie twarzy ROPCiO wymaga nieujawniania konfliktu, a więc trzeba zgodzić się na nowe kolegium; co najwyżej można go w przyszłości uzupełnić. Taki wniosek został ostatecznie poddany pod głosowanie. Na 58 obecnych za wnioskiem głosowało 24 (w tym wszyscy agenci i osoby sprowadzone na zebranie niezbyt formalnie), 16 przeciw, 5 wstrzymało się od głosu, a pozostałych 13 uczestników - wstrząśniętych konfliktem i temperaturą dyskusji - nie wzięło udziału w głosowaniu.

Czytam teraz raporty, przedstawiające przebieg Spotkania. Agenci i oficerowie SB nie kryją triumfalnych uczuć: udało się doprowadzić do rozbicia Ruchu Obrony. Przekonani są, że po rozłamie ROPCiO już się nie podniesie; jeśli nawet nie dojdzie do samorozwiązania, to nastąpi całkowity zanik działalności. Te oceny podzielają przełożeni. Sypią się nagrody. Akta zawierają tylko dane dotyczące III wydziału Komendy Stołecznej. Prowadzący w jej ramach kombinację operacyjną ppor. O. zostaje awansowany do wyższej grupy uposażenia; jego pensja zasadnicza wzrasta z 3100 do 4100 zł, a stała premia z 600 do 1300 zł.; ponadto otrzymuje Srebrny Krzyż Zasługi. Marian B. - "Warszawski" dostaje jednorazową premię 2000 zł. Wysoką nagrodę dano również Pawłowi M., ale z akt nie wynika ile. Ponad trzydziestu pracownikom III wydziału - poczynając od An. An. - udzielono pochwały z wpisaniem do akt.

W ogólnym zadowoleniu, przebijającym z raportów, ginie kilka istotnych spraw. Relacje z przebiegu obrad w Zalesiu są chaotyczne i nonsensownie poprzekęcane, najwyraźniej tylko niektóre fragmenty udało się nagrać - a i to niezbyt wiernie. Występują liczne pomyłki co do faktów i osób. Ulegając sugestii emocjonalnych ataków, dramatyzujących obrady, agenci nie dostrzegają, że zachowywały się tak tylko nieliczne osoby. Co może najważniejsze, większość osób uczestniczących w Spotkaniu nie zamierzała rezygnować z opozycyjnej działalności; mimo rozłamu, struktury nie rozpadają się. Z punktu widzenia potrzeb inwigilacyjnych linia podziału ukształtowała się niepomysłnie dla bezpieczeństwa. W aktach zachowała się opinia wyższego oficera SB, który w maju, jeszcze przed podziałem ROPCiO, przeprowadzał kontrolę przebiegu kombinacji operacyjnej. Sam przebieg operacji ocenił w superlatywach: fakt, że agentura SB okazała się zdolna sprowokować konflikt wewnętrzny w Ruchu Obrony i sterować jego przebiegiem uznał za wybitne osiągnięcie. Niepokój ubeka budził jeden fakt: agentów wpływu udało się umieścić tylko przy Czumie i Ziemińskim, gdy Moczulski pozostaje poza kontrolą; kolejne próby, aby zaopatrzyć go w anioła stróża skończyły się fiaskiem. Kontrolujący poleca więc aby jak najszybciej, jeszcze nim nastąpi rozłam, za wszelką cenę umieścić kogoś przy Moczulskim - inaczej bowiem grozi, że po rozłamie ta część ROPCiO pozostanie poza kontrolą.

Rzeczywiście, tak się i stało. Wprawdzie w ostatniej chwili agent A. W. - "Zenon", umieszczony początkowo przy Kaziku Januszu i Ziemińskim, przeszedł "na stronę Moczulskiego", ale miało to ograniczone skutki. Po prostu osobiste możliwości "Zenona" były bardzo niewielkie. Nadawał się on tylko do wykonywania różnych zadań technicznych. Dotyczyło to głównie kwestii wydawniczych: agent organizował jakąś powielarnię, przez pewien czas zapewniał jej możliwość pracy - a potem doprowadzał do wpadki. Niektóre straty były bolesne, lecz mieściły się w normie; generalnie wychodziliśmy na swoje. Choć na pewien czas A.W. uzyskał kredyt zaufania, nie był w stanie ani odkryć naszych zamiarów politycznych, ani uzyskać jakiegokolwiek wpływu na podejmowane decyzje. Największym jego osiągnięciem było dotarcie do jednego z drukarzy, którzy powielali nam wydawnictwa w legalnej drukarni oraz wykonanie odlewu kluczy do mojego mieszkania (to ostatnie było sztuką dla sztuki, gdyż kopie kluczy od administratora budynku p. W. uzyskał wcześniej oficer SB, występujący pod zapewne fałszywym nazwiskiem ppor. B. Nizieński). Po pewnym czasie "Zenon" został zdemaskowany - i przeorientowany na podwójnego agenta. Te dramatyczne przygody bardzo ujemnie oddziaływały na jego zdrowie, a gdy doszło do kulminacji

wydarzeń - A. W. na ogół przybywał w szpitalu.

Spotkanie w Zalesiu formalnie nie powodowało podziału Ruchu Obrony; ustalono, że po komisyjnym wyjaśnieniu zarzutów i praktycznym sprawdzeniu możliwości funkcjonowania, we wrześniu 1978 r. kolejne Ogólnokrajowe Spotkanie podejmie zasadnicze decyzje merytoryczne. Nigdy już do takiego wspólnego spotkania nie doszło. Materiały bezpieki ujawniają podszewkę wydarzeń. Prawie natychmiast po Zalesiu miały miejsce kolejne fakty dokonane (m. in. publikacja innych niż uzgodniono komunikatów obrazujących przebieg obrad i podjęte decyzje) i zaczęły się kształtować dwie różne struktury. W grudniu zostały one definitywnie sformalizowane: powstały dwa ROPCiO, jeden kierowany przez Radę Rzeczników (wyrosła z niego KPN), drugi przez Radę Sygnatariuszy (z czasem przewagę uzyskał Czuma, a z grupy wyodrębnił Kongres Samostanowienia Narodu - kierowany przez Ziemińskiego). Pierwotny podział Ruchu Obrony objął środowiska w Warszawie, Łodzi, Lublinie, Szczecinie, Katowicach, Poznaniu i paru mniejszych ośrodkach; w Gdańsku, Krakowie i Wrocławiu oraz w większości mniejszych ośrodków Czuma i Ziemiński początkowo nie pozyskali nikogo. Później, rzecz jasna, rozwijały się zarówno zjawiska integracyjne jak dezintegracyjne.

Doraźny sukces SB był niewątpliwy. Jeśli w końcu 1977 r. Ruch Obrony był największą strukturą opozycyjną w Polsce, nadającą kierunek i tempo wydarzeniom politycznym i rozrastającą się niemalże w oczach - to w połowie 1978 r. przekształcił się w osobne grupy, skonfliktowane i zajmujące wyłącznie własnymi partykularnymi sprawami. Zorganizowane działanie zewnętrzne, ukierunkowane na społeczeństwo, zanikło prawie całkowicie. W MSW mogli otrąbić sukces: groźna opozycja antyustrojowa została zdeintegrowana, a w wysokim stopniu zneutralizowana; można było spodziewać się jej rychłej likwidacji. Nadzieje okazały się płonne - niepodległościowa opozycja przetrwała, a w tym samym czasie, gdy dochodziło do definitywnego podziału Ruchu Obrony, prace nad powołaniem KPN były w pełnym toku. Straty jednak okazały się poważne. Rozłam ROPCiO opóźnił o co najmniej rok pełne uformowanie się struktur opozycji politycznej, skompletowanie i ukształtowanie kadry, sprecyzowanie programów i form działania. Gdy w 1980 r. rozpoczęły się masowe wystąpienia społeczne, nie byliśmy do tego tak przygotowani jak mogliśmy i powinniśmy; utraty kluczowego roku nie dało się niczym zastąpić. To prawda. Ale przecież wydarzenia, które doprowadziły do likwidacji PRL i upadku całego obozu sowieckiego nie udało się powstrzymać. Na czas powstała partia niepodległościowa i ogłoszone zostały programy, w tym tak potrzebny dla ukierunkowania eksplozji społecznej program "Rewolucji bez rewolucji". Ruch Obrony rozłamał się, ale wcześniej wyrosły z niego pierwsze czasopisma niezależne (podziemne - "U Progu" i jawne "Opinia"), nowe formy politycznej aktywności, struktury hierarchicznie zorganizowane (przed czym jeszcze w końcu 1977 r. ostrzegał Jacek Kuroń), inicjatywy społeczne kluczowego znaczenia: wolne związki zawodowe, niezależny ruch rolników, wreszcie inicjatywy polityczne, prowadzące do uformowania się partyjnych i parapartyjnych struktur - zapowiedzi przywrócenia pluralistycznej demokracji (w tym KPN, Ruch Młodej Polski, Ruch Wolnych Demokratów).

Najważniejsze może było, że Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela w ciągu pierwszych dwunastu miesięcy swej działalności doprowadził do zasadniczej przemiany w polskiej opinii publicznej. Wcześniej za granicę możliwego działania uznawano ogłaszanie apeli do władz, podpisywanych przez nieliczne grupy intelektualistów oraz organizowanie pomocy humanitarnej dla represjonowanych robotników. Po roku działalności Ruchu Obrony okazało się, że możliwe jest zarówno publiczne zakwestionowanie założeń ustrojowych i praktyki państwowej PRL jak stworzenie struktur zorganizowanych, jawnie dążących do przywrócenia demokracji i niepodległości. To doświadczenie społeczne było czymś najzupełniej nowym w świadomości zbiorowej Polaków i otwierało drogę do późniejszych masowych i długotrwałych działań.

Z wiosennych wydarzeń i czerwcowego rozłamania Ruchu Obrony wyciągaliśmy wnioski na

bieżaco. Także w zakresie samoobrony przez bezpieczniackimi działaniami. Wiele spraw mieliśmy przygotowanych teoretycznie, długo bez możliwości sprawdzenia w praktyce. Wiedzieliśmy, że SB nie będzie w stanie stosować wobec zorganizowanej opozycji takich form bezpośredniego terroru jak w pierwszym powojennym dziesięcioleciu i wyobrażaliśmy sobie, do jakich metod sięgnie, ale dawało to obraz dość ogólny. Pod tym względem pierwszy rok działalności Ruchu Obrony przyniósł nam bezcenne doświadczenia. Nie tylko w zakresie rozpoznania działań bezpieki. Jednak w tej wąskiej dziedzinie byliśmy w stanie szybko przeorganizować pracę, aby zapewnić sobie minimum bezpieczeństwa. Wcześniej, siłą rzeczy, w naszych konspiracyjnych przygotowaniach stosowaliśmy – z pewnymi modyfikacjami - zasadę coraz węższych kręgów wtajemniczenia; obok siebie występowało kilka osobnych struktur, zajmujących się odrębnymi sferami działalności, a powiązanych tylko personalnie. Ten horyzontalny układ każdej struktury został zachowany, ale uzupełniliśmy go nowym - wertykalnym.

Nierealne byłoby szukanie rozwiązań, zakładających, że do naszych struktur nie przeniknie żaden agent. Aby to osiągnąć, trzeba byłoby zamknąć dopływ nowych ludzi, a i starą kadrę poddać bardzo ostrej selekcji. Takie rozwiązania zwiększało stopień bezpieczeństwa, ale w praktyce prowadziło do zaprzestania działalności zewnętrznej - a więc politycznej. Dlatego przyjęliśmy założenie, że chronić przed agentami będziemy tylko pewne kręgi (układ horyzontalny) i zakresy (układ wertykalny) naszej działalności.

System ten w swoim generalnym zarysie został wprowadzony w życie wiosną 1978 r., - w okresie, kiedy bezpieczniacka ofensywa zbliżała się do swojego apogeum. Sfery aktywności podzieliliśmy na mocno odseparowane działki trzech rodzajów: otwarte, półprzymknięte i zamknięte. Do tej pierwszej zaliczyliśmy cały Ruch Obrony i inne struktury, inwigilowane już przez SB. Powoli wydobywaliśmy z nich ludzi, którzy organizowali komórki otwarte lub przymknięte. Podział oparty był w znacznej mierze na ujawnionych i poddanych analizie kierunkach zainteresowania SB. Wyróżniały się zwłaszcza cztery, które zakodowaliśmy literami alfabetu: A - dostęp do gremiów kierowniczych opozycji, B - rozpoznawanie programów i planów działania, C - drugoobiegowa prasa i wydawnictwa (redagowanie, druk, kolportaż) oraz D - organizacja masowych wystąpień publicznych. Zarówno w układzie horyzontalnym jak wertykalnym zakres A musiał być absolutnie zabezpieczony przed bezpieką, gdy szersze zabezpieczenie zakresu D było pozbawione sensu. Wystąpienia publiczne, jeśli miały być bardziej masowe, musiały być zapowiadane wcześniej. Skoro informowaliśmy o nich wszystkich, niemożliwe było utrzymanie tego w tajemnicy przed SB.

Do późnej jesieni 1978 r. nowa struktura została już uformowana. Zakres D prawie w całości pozostawiliśmy otwarty. Gdy przychodzili do nas nowi ludzie, kierowaliśmy ich najczęściej na ten odcinek. Gdy w nieznanym im gremium zapadła decyzja, że w danym terminie i miejscu organizujemy publiczną manifestację o takich a takich założeniach merytorycznych, uczestniczyli w pracach przygotowawczych i wykonaniu. Przykładowo, względnie wcześniej rozpoczęliśmy przygotowania do uroczystości 11 listopada 1978 r. Rok wcześniej miałem jeszcze nadzieję, że wtedy właśnie zostanie ogłoszone powstanie partii niepodległościowej. Szykowaliśmy to w wielkiej tajemnicy, poza ROPCiO i NN. Niektóre sprawy wymagały długich przygotowań. Między innymi planowaliśmy wydanie z tej okazji specjalnego plakatu. W kilku niezależnych od siebie ośrodkach zainspirowaliśmy prace nad projektem, a później głęboko utajniony druk. Wszystko było utrzymywane w tak głębokim sekrecie, że do dzisiaj nie wiem, kto był autorem projektu i gdzie go wydrukowano (zapewne z Poznania, ale to tylko przypuszczenie). Był to pierwszy plakat wydany w drugim obiegu¹⁴ - i pierwszy niezależny, który od Powstania pojawił się na murach Warszawy. Przedstawiał Orła Białego w koronie na czerwonym tle, u góry rozerwane łańcuchy i rok 1918, u

¹⁴ Formalnie rzecz biorąc, pierwszym przygotowanym przez nas plakatem była "Lotnia" Ruchu Obrony. Zorganizował to jesienią 1977 r. Adam Wojciechowski, a autorami projektu byli jego znajomi plastycy. Plakat ten wydano na sitodruku w niewielkiej ilości egzemplarzy i nie był wieszany na ulicach. Używaliśmy go natomiast do dekoracji niektórych biur terenowych ROPCiO.

dołu łańcuchy znów skute i rok 1978. Wykorzystałem go na okładce październikowego numeru "Drogi", którego kolportaż rozpoczął się dwa - trzy tygodnie przed datą święta.

W tym samym czasie zapadła decyzja co do formy obchodów rocznicowych. Oczywiście, ogłoszenie powstania KPN jeszcze nie wchodziło w rachubę, ale postanowiliśmy, że stosowaną dotychczas formę manifestacji - uczestnictwo w rocznicowej Mszy świętej uzupełnimy zorganizowanym pochodem spod Katedry do Grobu Nieznanego Żołnierza. Jakies dwa tygodnie przed szykowaną manifestacją powiadomiliśmy wszystkie struktury otwarte, że centralnym punktem obchodów będzie uroczyste nabożeństwo w Katedrze św. Jana, na którym należy zgromadzić jak najwięcej ludzi. Zadaniem struktur otwartych było organizowanie akcji informacyjnych. W tym celu przygotowywali ulotki i inne materiały propagandowe, podające datę i miejsce nabożeństwa oraz kolportowali je w Warszawie i okolicach. Wiedzieliśmy, że w tych otwartych strukturach są agenci, niektórych już nawet rozpoznawaliśmy - ale to w niczym nie przeszkadzało. Aby się uwiarygodnić, agent również przygotowywał ulotki. Ich kolportaż czy rozwieszanie, podobnie jak malowanie napisów dokonywały zespoły paru osobowe. Formalnie miało to zapewnić bezpieczeństwo przed SB i MO, w rzeczywistości było formą kontroli, aby agent (albo człowiek, którego w ostatniej chwili obleciał strach) wykonał wyznaczone zadanie. Chyba tydzień przed rocznicą przekazaliśmy do kolportażu wspomniany wyżej plakat.

W końcowej fazie przygotowania całej akcji uczestniczyły już komórki półprzymknięte - takie do których mógł przeniknąć agent¹⁵ - mimo podjętych środków bezpieczeństwa. Każda z tych komórek działała jednak w całkowitej izolacji od innych. Zadanie organizacji pochodu spod katedry otrzymała gdańszczanka Nina Milewska, która przyjechała do Warszawy parę dni w wcześniej i zamieszkała w jakimś nie spalonym mieszkaniu. Dysponowała ona grupą starannie i niemalże w ostatniej chwili dobranych ludzi. W chwili, gdy rozpoczynało się rocznicowe nabożeństwo, tylko kilka osób wiedziało, że zakończy się ono manifestacją uliczną. Grupa ta pozostała na ulicy, a gdy msza zbliżała się do zakończenia, jej uczestnicy wyciągnęli biało czerwone flagi i jakiś transparent i zaczęli formować czoło pochodu. Zaraz potem tłum zaczął wypływać z katedry, w wąskiej ulicy niejako tworząc pochód, którego czoło wychodziło już na Plac Zamkowy. W tym samym czasie Jerzy Gren - nie ujawniony wcześniej w otwartych strukturach opozycyjnych, a teraz wyznaczony na mówcę przed Grobem Nieznanego Żołnierza wraz z niewielką obstawą (kolejna komórka półprzymknięta) zajął pozycję na Placu Piłsudskiego. Wiedzieli oni, że - w przeciwieństwie do poprzednich manifestacji, ograniczanych do składania kwiatów, tym razem będzie przemówienie, nie wiedzieli jednak, że nadejdzie pochód. Dlatego Jurek Gren zaczął przemawiać wcześniej, gdy tylko indywidualnie przybyli ludzie zgromadzili się przy Grobie, gdy Nina (która z kolei nic nie wiedziała o przemówieniu) poprowadziła parusetosobowy pochód dłuższą drogą, bo Królewską. Ja i obecne na manifestacji dwie czy trzy osoby z potrójnie zamkniętej komórki decyzyjnej wiedzieliśmy co nastąpi, ale w żadnym zorganizowanym działaniu nie uczestniczyliśmy. Gdy tylko wydostałem się z tłoku przy katedrze, pobiegłem bokiem przez Podwale i Senatorską i znalazłem się na przed Grobem w momencie, gdy Jurek już zaczął przemawiać, a Niny jeszcze nie było. Trochę z boku stał Jacek Kuroń. - Co się tutaj dzieje - zapytałem, zachowując rygory pełnej konspiracji. Roześmiał mi się w twarz. - *Mnie pytasz? Przecież to Wasza impreza!* Rzeczywiście, pytanie było raczej infantylne i porzucając pozory powiedziałem wprost: Miał być pochód, może coś zauważyłeś? Jacek nadal traktował to wesoło: *Nie martw się - jest, minąłem ich przy Trębackiej, prowadzi ta twoja Milewska.* Rzeczywiście, po jakiś pięciu minutach czoło pochodu zaczęło wychodzić Królewską zza Domu Bez Kantów.

Już powodzenie tej pierwszej masowej manifestacji ulicznej pokazało, że system zabezpieczeń okazał się wystarczający. Potwierdzały to fakty, a dodatkowe dowody znajdują teraz w aktach. Bezpieka wiedziała to, co donosili jej agenci, a ci z kolei docierali głównie do komórek otwartych. Ponieważ nasza aktywność wzrastała w szybkim tempie, pozwalało to na gromadzenie nawet

15 I rzeczywiście przeniknął "Zenon" - co przyczyniło się do jego demaskacji.

znacznej ilości informacji, ale niewielkiego znaczenia. Pozornie więcej udawało się im wyciągnąć z komórek C. Pozornie, bo wiedzieliśmy o szczególnym zainteresowaniu SB działalnością wydawniczą i większość placówek zwykłej techniki, zwłaszcza wałkowej traktowaliśmy jako C. Mógł tam trafić każdy agent - jeśli tylko chciał wałkować, a jeszcze lepiej - zorganizować taką powielarnię. Miał więc do wyboru: donosić na samego siebie, albo wstrzymać od pracy, a tym samym odpaść ze struktury, do której chciał przeniknąć. Na ogół wybierali rozwiązanie pośrednie: najpierw organizowali powielarnię, a potem doprowadzali do wpadki. Per saldo wychodziliśmy na swoje.

W niektórych sprawach trzeba było wprowadzić ostre rygory. Całkowicie zrezygnowałem z pierwotnej metody, aby egzemplarze-matki przygotowywać w maszynopisie i dopuszczać ich późniejsze przepisywanie. Technika otrzymywała gotowe matryce, najczęściej w postaci fotokopii. Można je było powielić bez zmiany - albo zrezygnować z powielenia. Agent, który dotarł aż do poziomu redakcji technicznej - był bezbronny. Musiał pracować - albo wycofać się. Pewne rozwiązania były dość naiwne, ale okazały się wystarczające. Należało do nich tworzenie fikcyjnych komórek organizacyjnych, otrzymujących zadania na niby. Niektóre dość pracochłonne - np. wystawanie przed pałacem Mostowskich, aby obserwować wychodzących ubeków i odprowadzać ich do domu. Pewnemu rozpoznanemu, a niezbyt rozgarniętemu agentowi powierzono - było to już po moim aresztowaniu - szefostwo w eksterytorialnego okręgu KPN w Warszawie; miał go sam stworzyć, bo - jak został poinformowany - wszystko rozbiła bezpieka. Agent - występował w tym czasie w SB pod pseudonimem "Tarnowski", zgodnie z instrukcjami bezpieki tworzył fikcyjny okręg i przedstawiał fałszywe sprawozdania. Płaciliśmy za to niezbyt wiele: dostawał trochę ulotek dla swoich ludzi, trochę dokradał. W ten sposób został całkowicie wyprowadzony poza rzeczywistą pracę, a ponadto był dla nas przekaźnikiem dezinformacji. Trwało tak wiele miesięcy, aż ubecy zorientowali się w mistyfikacji, a sam agent gdzieś się zmył.

Czytając teczki SOR "O", widać wyraźne różnice. Przed latem 1978 bezpieka dociera do centralnych ośrodków dyspozycyjnych ROPCiO i NN, a także jest w stanie ustalić niektóre z naszych planów działania. Od jesieni 1978 te sukcesy się kończą. Nie pomaga kierowanie czy też pozyskiwanie nowych agentów. Wprawdzie trzem spośród nich - wspomnianym AW - "Zenonowi" i St. - "Tarnowskiemu" oraz Bernardowi K. - "Markowi Walickiemu" udaje się usadzić dość trwałe w komórkach otwartych, a nawet czasowo docierać do niektórych półzamkniętych- tyle, że nie są oni w stanie dotrzeć do rzeczywiście istotnych informacji, a zwłaszcza uzyskać jakiegokolwiek wpływ na podejmowane decyzje, nie tylko polityczne. Teczki SOR "O" przedstawiają to plastycznie. "Zenon" - w tym okresie główny agent SB inwigilujący nas w Warszawie - raportuje wprawdzie szczegółowo, że propagujemy masowy udział w nabożeństwie, ale przypuszcza, że mnie tam nie będzie; zapewne Moczulski chce wykorzystać skupienie głównej uwagi SB na Katedrze, a sam w tym czasie gdzieś wyjedzie w bliżej nieznanym celu. Wrażenie to umacnia polecenie, jakie wydaję AW w przeddzień uroczystości: w jakiejś szczególnie pilnej sprawie musi natychmiast jechać do Gdańska. W ten sposób zabezpieczałem się, aby w ostatniej chwili czegoś nie odkrył, ale on raportował, że szykujemy coś najwyraźniej poza Warszawą.

Takie najprostsze działania kontrwywiadowczo-zabezpieczające zwieszały bezpieczeństwo prowadzonych działań, ale znacznie ważniejsze było, że pozwalały zachować tajemnicę podejmowanych decyzji i planowania politycznego - zakresów A. i B. Mimo inwigilacji i agentury mogliśmy spokojnie i planowo organizować KPN, przygotować programy, przyjąć optymalne struktury organizacyjne, skompletować kadrę i kolejno powoływać ośrodki decyzyjne - centralne Kierownictwo Akcji Bieżącej (tj. zarząd organizacyjny partii), obszarowe i okręgowe KABy, wreszcie Radę Polityczną. Trwało to blisko rok - a bezpieka kolekcjonując coraz liczniejsze dane płynące z obserwacji oraz agentury - nic na ten temat nie wie. Dopiero latem 1979 r., gdy już wszystko było przygotowane do powołania partii, gdy publicznie zapowiedzieliśmy szybkie powstanie Konfederacji i przystąpiliśmy do organizowania sieci członkowskiej - wiadomość w

powstawaniu KPN spada na SB jak grom z jasnego nieba. Materiały SOR "O" ujawniają, że początkowo – gdy w lipcu 1979 r. głośno już mówimy, że niedługo ogłosimy powstanie Konfederacji Polski Niepodległej - esbecja przypuszczała, że to będzie jakiś nowy komitet - jeden z wielu, jakie w tym czasie tworzyliśmy - rzeczywiście i na niby, aby dać zatrudnienie ogarom gończym. Gdy dowiadują się, że chodzi o zorganizowaną partię - jest już za późno na skuteczne przeciwdziałanie. 1 września 1979 powstanie KPN zostaje ogłoszone w Warszawie i w Londynie. W Warszawie czyni to Nina Milewska na manifestacji przed Grobem Nieznanego Żołnierza. W Londynie "Ryś" - Jerzy Zaleski, Sekretarz Generalny Ligi Niepodległości Polski i Andrzej Mazur, emisariusz z Kraju - na Światowym Zjeździe Solidarności z Walczącym Krajem. Nieważne, że ja w tym czasie siedzę w piwnicznej celi Pałacu Mostowskich. Wypuszczają mnie tuż po północy. Na postoju taksówek, w cieniu pomnika Dzierżyńskiego spotykam Andrzeja Czumę. Zwinęli go po pierwszorzeczniowej manifestacji i wypuścili tuż przede mną.

- *Ogłoszono powstanie KPN* - mówi Czuma. To pierwsza wiadomość, że operacja ogłoszenia przebiegła zgodnie z planem. Chcę go uściskać z radości. Nawet wtedy, gdy oznajmia z maksymalnie zatroskaną miną: - *To błąd. Zrobiliście to za wcześnie.*

Po trudnych trzydziestu sześciu godzinach pod celą, z jakimś tłumem pijaków, niewyspany i obolały od twardych dech, nie bardzo go rozumiem.

- *Za wcześnie? Przecież już słycać burzę...*

Andrzej ustępuje mi taksówki, która właśnie nadjechała. - *Jedź, wyśpij się.*

Rozstajemy się. Następnym razem zobaczę go za osiem lat - na lotnisku w Chicago. Nigdy już wspólnie nie pracowaliśmy¹⁶.

Na początku byliśmy wszyscy razem, a przynajmniej tak się nam zdawało. Potem byliśmy oddzielnie. Żeby tylko oddzielnie...

Ślęcząc nad starymi papierzyskami bezpieki, ożywiam w pamięci Spotkanie w Zalesiu. Wraca ówczesne silne odczucie tragicznego zderzenia. Był słoneczny, radosny w swej wiosennej urodzie dzień, piękna sceneria zaleskich sosen. Msza św. - przejmująca, w tak głębokim skupieniu odprawiana przez Ludwika i Bronka. Wezwanie do wzajemnego wybaczenia sobie win, podania rąk. Pamiętam oczy Andrzeja, szczere i jasne, gdy podchodzimy do siebie. Więc możemy być razem. Więc jesteśmy razem? - Później, za chwilę, natychmiast - jeśli była przerwa, uciekła z pamięci - wszystko się odmienia. Pełne emocji, brutalne oskarżenia. Powoływanie się na moralność i potrzebę uczciwości, przemieszane tak silnie z fałszem, intrygą, zamazywaniem prawdy. Wściekłe oczy, wściekłe głosy. Demagogia i rozpacz - obustronnie. Wielogodzinna męczarnia, gdy nie rozumiano, o czym mówimy, i gdy nie rozumieliśmy, co nam chcą powiedzieć.

Więc stanęliśmy przeciwko sobie - jesteśmy przeciwko sobie. Osobno, razem - wszyscy przeciwko wszystkim. Odeszło w niebyt wzajemne zaufanie, lojalność, wspólne poczucie obowiązku wobec

¹⁶ Pierwszą istotną wpadkę mieliśmy dopiero we wrześniu 1980 r. - i to poza strukturą KPN. Po zwolnieniu z więzienia w krótkim czasie zabrałem się za tworzenie komisji porozumiewawczej, która objęłaby przedstawicieli różnych ośrodków politycznych, krystalizujących się w tym czasie. Zgodnie z generalną strategią działania, przedstawioną w "Rewolucji bez rewolucji", po wymuszeniu strajkami zgody władz PRL na tworzenie masowego ruchu społecznego konieczne było uformowanie załączka reprezentacji politycznej. Uważałem, że KPN nie powinien się mieszać do NSZZ "Solidarność" (choć skierowaliśmy tam trochę ludzi), ale skupić na budowie pluralistycznej struktury politycznej. Niestety, w ścisłym kierownictwie jednej z prawicowych grup politycznych, z którymi wówczas rozpoczęliśmy rozmowy, uplasował się agent "Marek". Jego meldunek znajduje się w teczkach SOR "O". Bezpieka łatwo mogła się domyśleć, jak bardzo jakościowo zmieniłaby się sytuacja gdyby obok masowej "Solidarności" działała zaczęła reprezentacja polityczna, łącząca przedstawicieli ugrupowań opozycyjnych o różnym zabarwieniu. Moje aresztowanie 23 września 1980 r. skutecznie przecięło tę inicjatywę.

Polski i Polaków, świadomość nadrzędności wypełnianej misji, nawet groźby niesione przez wspólne nam ryzyko. Gdzieś rozplynęły się przyjaźń, wzajemne zrozumienie, poczucie wspólnego losu. Co się stało, jak do tego doszło, czemu miłość zamienia się w nienawiść, zaufanie w oskarżenie? Ciągłe to samo dręczące i coraz bardziej banalne pytanie: wiec taka jest kondycja człowieka... - Czy tylko taka?

Leszek Moczulski
(fragment książki "Lustracja")